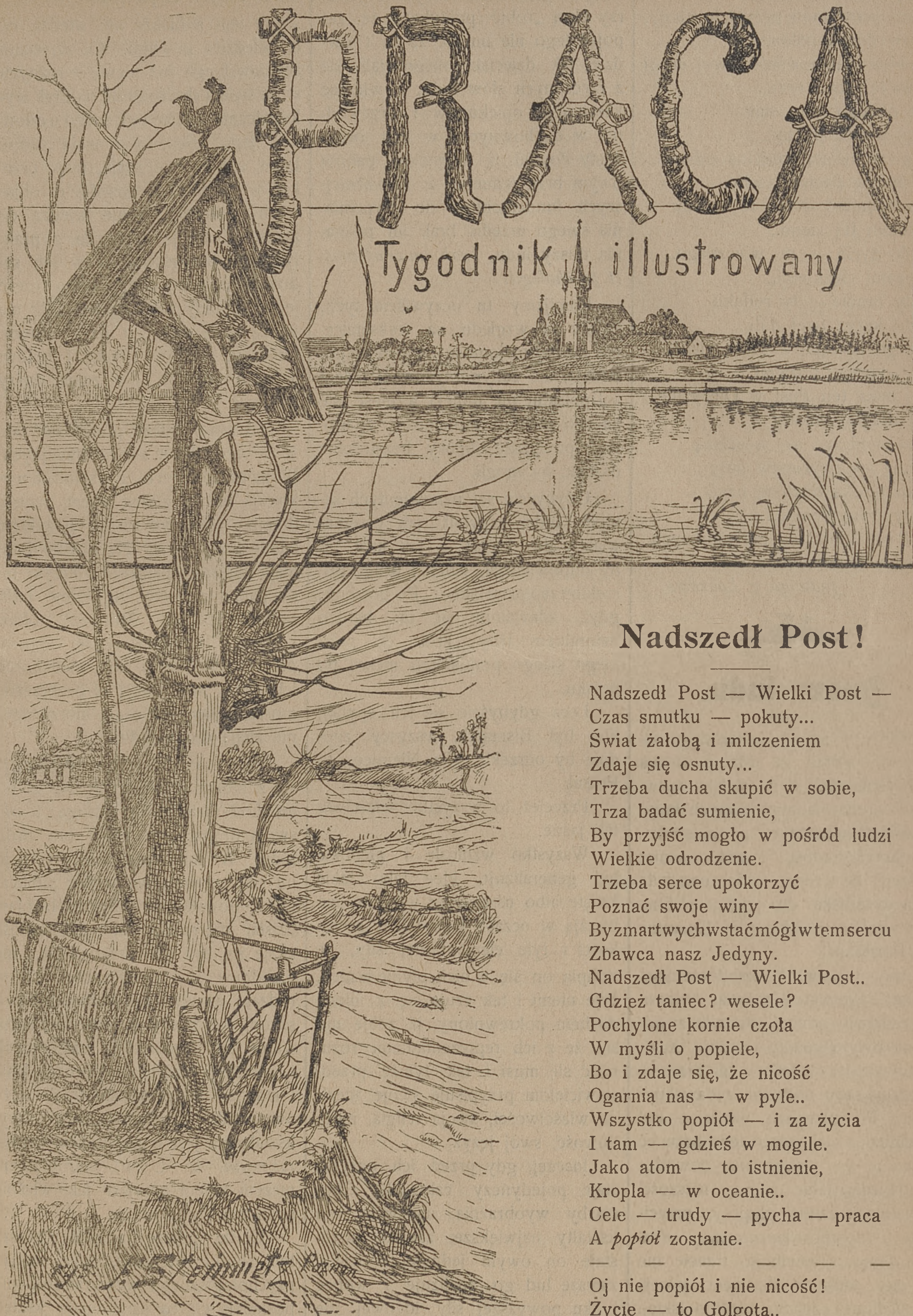
Niedziela, dnia 16-go Lutego 1902 roku.



Nadszedł Post!

Nadszedł Post — Wielki Post —
Czas smutku — pokuty...
Świat żałobą i milczeniem
Zdaje się osnuty...
Trzeba ducha skupić w sobie,
Trza badać sumienie,
By przyjść mogło w pośród ludzi
Wielkie odrodzenie.
Trzeba serce upokorzyć
Poznać swoje winy —
By zmartwychwstać mógł w tem sercu
Zbawca nasz Jedyny.
Nadszedł Post — Wielki Post..
Gdzież taniec? wesele?
Pochylone kornie czoła
W myśli o popiele,
Bo i zdaje się, że nicość
Ogarnia nas — w pyle..
Wszystko popiół — i za życia
I tam — gdzieś w mogile.
Jako atom — to istnienie,
Kropla — w oceanie..
Cele — trudy — pycha — praca
A *popiół* zostanie.
— — — — — —
Oj nie popiół i nie nicość!
Życie — to Golgota..

Krzyż się dźwiga, lecz mu świeci
Wiary gwiazda złota..
Zmartwychwstanie przyjdzie wtedy,
Gdy w ducha pokorze,
Człowiek walką wśród swej drogi
Na zwycięstwo orze..
Post dlatego, aby ciało
Ugiąć wobec pychy..
By gwar świata, rozgłos zabaw
Zmienić w pacierz cichy,
By zrozumieć — co to znaczy
Popiołom tej ziemi..
Iść do życia — do wiecznego..
Krzyżami ciężkiemi..
Oj, ty bracie — ty rodaku..
Ciężki krzyż twej doli..
Lecz go dźwigaj z wiarą cichą,
Bóg wytrwać pozwoli..
Bo i nasz ten Post w Ojczyznie,
Post długiej pokuty
Może skończyć się weselszą
Pieśnią — zwycięstw nuty..
Tylko trzeba duchem ożyć —
Wady powypleniać..
Bo Post Wielki — ma ułomnych
W silnych poprzemieniać!

Jadwiga z Łobzowa.



Dusza ludu.

Kiedy w sali gnieźnieńskiego sądu padły słowa, że Matka Boska i Chrystus mówili po polsku, ówczas czereda sfanatyzowanych krzykaczy polakożerczych podniosła dziki okrzyk radości i zadowolenia: Patrzcie, do czego to doprowadziła agitacya polska, oto jej dzieło! Ona uczy dzieci polskie, iż Chrystus był Polakiem!

Jacy oni naiwni ci rozindoczeni panowie! Ja otwarcie mówiąc byłbym się zadziwił, gdyby odpowiedzi odnośne były wypadły inaczej. Zdziwiłem się też wogóle, że przewodniczący sądu podobne zadawał pytania. Po pierwsze wiedzieć był powinien, że tak odpowiedzi brzmieć będą, a po drugie nie dowodzą odpowiedzi takie żadnej niższości umysłowej, żadnej głupoty, przeciwnie to dowód *elementarnego zdrowia duszy*, a zatem po trzecie nie są one żadnym skutkiem jakiejś tam urojonej agitacyi wielkopolskiej.

To powinni wiedzieć wszyscy nietylko gazeciarze i krzykacze,, którzy chcą „robić politykę“, że zaś pojąć tego nie umieli, że tu i owdzie jak dzieciaki naigrawiali się z rzeczonych słów ludu, że wieszać kazali jego opiekunów i przewodnik w duchownych, w tem oczywisty dowód, iż wszystkim panom owym brak jednego z najważniejszych fundamentów do wypełniania swego urzędu, brak im poznania duszy ludu, *brak im znajomości psychologii.*

Pomijamy tu oczywiście tych, którzy ze względu na wykształcenie swoje znajomość ową może posiadają, ale zahypnotyzowani jadem antipolskim nie umieją wznieść się na taki poziom moralności, z którego powyższe objawy bezstronnie osądzić by mogli.

Gdybyście się panowie tych samych ludzi zapytali, jak przemawialiby do „króla“, a jak król im by odpowiedział, jeden i drugi odrzekłby zapewne także: „Po polsku“; gdyż zdawałoby się im bardzo naturalnem, iżby „król“ do polskiego swego poddanego mówił po polsku.

Lecz gdybyście się ich spytali, kim był Bismarck, wszyscy zgodnie by odrzekli: To Niemiec, to Prusak.

Przecież to wszystko właściwie tak jasne.

Wszystko wzniosłe i głębokie lud generalizuje, idee jako takie święte albo uświęcone wiekami nabierają w oczach jego takiej szerokości i tyle elementarnej siły, że zatapia on się w nich, płynie w nich, żyje niemi i tak czuje się z niemi duchem pokrewniony, iż zdaje mu się, że z ich reprezentantami rozumieć się musi i tak tymże przedstawicielom przypisuje swoje idealne właściwości, swoją religią, narodowość, swój język.

Inaczej, gdy przed ich oczyma staje pojedyńczy człowiek. Chociażby wyobraźnia nadawała mu kształty największe, zawsze pozostaje on owym jednym z wielu, zawsze lud go analizuje i wobec braku powyższej siły ideowej nie współczuje z nim i nie przypisuje mu własnych atrybutów.

O tem jednakże nie wiedzą ci, co wiedzieć powinni. Co do stanu sędziowskiego już nieraz z różnych stron świata skarżono się na brak wykształcenia psychologicznego u członków jego. Sędziowie mają sądzić ludzi, a ludzi nie znają, mają orzekać w sposób tak dosadni o objawach życiowych, a nie wiedzą co życie. Znają je coprawda z praktycznego przygotowania w sali sądowej, ale tutaj widzą tylko część jego, sporadyczne drgnienia, ale nie widzą życia całego z jego tysiącami dróg, skrętów, świateł i bólów. Jednem słowem nie znają duszy ludowej.

To samo należy powiedzieć także o urzędnikach administracyjnych. W najdraźliwszych zawikłaniach wykonują oni z zimną krwią najtrudniejsze operacye swoim nożykiem administracyjnym. Na prośby ludu mają zapisany papier, na krzyk ludu papier zapisany, na gniew ludu zapisany papier. Atrament, pióro i papier! Tem rozstrzygają sprawy najdelikatniejsze, a nie wiedzą, że ich ukazy wypływają na bezbrzeżne morze duszy, nie znają morza tego, nie znają duszy ludu.

Tacy urzędnicy nie rozumieją się z ludźmi stykającymi się z nimi. Lud idzie swoją drogą i oni swoją drogą; nie znają oni dróg ludu. A ponieważ państwo daje im siłę przymusową wobec publiczności, powstaje w ten sposób objaw dzisiaj nie rzadki, że publiczność zdaje się być dla urzędników, nie urzędnicy dla publiczności. Tego rodzaju warunki zaś bezwarunkowo szkodliwie wpływają na ukształtowanie się stosunków wzajemnych i wywołują częste nieporozumienia i starcia. A przyznać trzeba, że ów brak psychologicznego wykształcenia jest u urzędników wprost *typowym,* że t. zw. biurokratyzm niczem innem nie jest jak właśnie skutkiem tegoż braku.

O ile gorsze jednakże muszą być skutki wtenczas, gdy owego psychologicznego wykształcenia nie posiadają ci, co sami mają kształ-

ció ducha innych, mianowicie *nauczyciele;* jak fatalny to objaw, gdy nauczyciele niczem więcej nie są jak powyżej określonymi typowymi *„urzędnikami“*. Niestety chyba każdy widzi, że dzisiaj takich nauczycieli we wszystkich zakładach naukowych niższych i wyższych coraz więcej. To jest smutne i szkodliwe. I tutaj powstaje wielki obowiązek dla rodziców, aby dać dzieciom to, czego im szkoła nie daje, albo daje w spaczonej postaci. Mówi się, że nauczyciel to *zastępca rodziców.* Dzisiaj niestety rodzice koniecznie starać się powinni, by zostać *zastępcami nauczyciela,* gdyż prawdziwych „zastępców rodziców“ dzisiaj coraz mniej.

Brak owego wykształcenia psychologicznego tem więcej i boleśniej daje się odczuwać, jeżeli pomiędzy sędzią, innym urzędnikiem, nauczycielem i t. d. z jednej a ludem z drugiej strony istnieją w dziedzinie ducha jakieś zasadnicze różnice n. p. narodowościowe jak u nas, gdzie *„naprzeciw“* polskiemu ludowi staje niemiecki sędzia, niemiecki nauczyciel. Podkreśliliśmy w ostatniem zdaniu wyraz „naprzeciw“, gdyż w takich warunkach zamiast zgodnego postępowania, stawająsobie naprzeciw dwa obozy i zamiast porządku jest walka, są rany i skargi i zawiść. A już najgorzej, najstraszniej, gdy walka ta toczy się między nauczycielem a rodzicami o przyszłość dziecka.

Gdyby wspomniani panowie byli się nauczyli, czem i jaką jest dusza ludu, gdyby oni zrozumieć ją mogli i chcieli, wtenczas nie byłby p. Studt wydał znanego a fatalnego rozporządzenia co do języka w nauce religii, wtenczas nauczyciele wrzesińscy nie byliby urządzali znanego katożenia, wtenczas przewodniczący sądu w Gnieźnie nie byłby stawiał powszechnie zapytań, wtenczas nie byłoby w historyi Prus owej plamy, która zwie się „Wrześnía“.

Lecz wam, zdaje się, tych plam jeszcze za mało. Świeżo donoszą, iż liczba nauczycieli wrzesińskich ma być znacznie powiększoną z powodu otworzenia jakichś *klas karnych, („Strafklassen“)* Czyż nauczyciele powołani do służby pod takiem hasłem będą istotnie „zastępcami rodziców“ a nie raczej *dozórcami dzieci?*

Ha! Ale wy tak chcecie... Lecz w takim razie sprzątajcie, coście zasiali. My zrzucamy z siebie wszelką odpowiedzialność i wtedy we wszystkiem, co nadejdzie, *nie nasza wina!* *Narodowiec.*



Quousque tandem?

Jedną z największych zasług posłów naszych przy ostatnich obradach w sejmie pruskim było to, że nareszcie zerwali z zwyczajem zapewniania rządu o naszej bezwzględnej a pokornej i *pruskiej* lojalności, że uderzyli w ton dawniejszych czasów i głośno oświadczyli: tak, będziemy lojalni, ale jako *Polacy,* którym rząd pozwoli być *Polakami we wszystkiem,* jeśli przyzna im równouprawnienie jako *Polakom,* a nie jako „Prusakom polskiego języka“. Prusakami nigdy, przenigdy nie będziemy i dopóki rząd wymagać będzie, abyśmy się przekształcili w Prusaków, będziemy lojalnymi tylko z *musu,* o ile zniewala nas do tego przynależność do państwa pruskiego, ale nie z własnej ochoty. Albo — albo — „tertium non datur.“ Cześć i wdzięczność należy się przytem posłom polskim, że otwarcie powiedzieli rządowi: „agitacya, jaką uprawiamy, jest słuszną i sprawiedliwą, bo jest *polską,* bo jest tylko wypływem naszych praw przyrodzonych, nadprzyrodzonych i politycznych. Zaniechać jej nie możemy, dopóki rząd, jak dotychczas, nastawać będzie na narodowość naszą. Bądźcie tedy przygotowani na to, że agitacya ta *nie ustanie,* ale nawet wzmagać się będzie, że będziecie zmuszeni liczyć się z nią po wszystkie czasy.“

Ta otwartość męzka i godna przedstawicieli gnębionego narodu więcej nam może przynieść korzyści, niż dawniejsze płaczliwe narzekania, prośby i zapewnienia bezwzględnej lojalności. Kto wie, czy właśnie te dawniejsze lamenty nasze nie ośmielały hakaty i rządu do nowych ataków. Lament jest przecież zawsze dowodem słabości. Może też niejednej bylibyśmy uniknęli przykrości, gdybyśmy zawsze byli *żądali* praw naszych, a nie — *błagali* o nie.

Bać się Niemców nie mamy jeszcze przyczyny. Pokazało się, że gdy tylko my przybierzemy postawę energiczną, pewną siebie, *oni* bać się *nas* zaczynają. Bóg nas nie opuści; gdy ufać mu będziemy wzmocni nasze siły. Damy sobie radę z gorszemi jeszcze przeciwnościami, chociażby pan *Straszewicz* w Warszawie i pokrewne mu duchy głośniej jeszcze jęczeli, że wobec nawały niemieckiej jesteśmy *„bezradni.“* Bądźmy odważni, a przedewszystkiem szanujmy naszą godność narodową.

Polakami jesteśmy, Polakami pozostaniemy po wszystkie czasy i żądamy, aby nas jako Polaków uważano za równouprawnionych z Niemcami w monarchii pruskiej. Do tego mamy prawo i od tego żądania nigdy przenigdy nie odstąpimy.

Poczucie narodowe, silne, gorące, przenikło już na wskroś całą ludność polską zaboru pruskiego, wszystkie jej warstwy. Wszyscy dziś odczuwamy nasze poniżenie, wszyscy dążymy do tego, aby wywalczyć sobie większe poszanowanie naszych narodowych właściwości. Uczucia te i dążności podziela już w całej pełni także polski lud *śląski.* Zesolidaryzował się on we wszystkiem z macierzą — wraz z nią cierpi, wraz z nią stawia czoło germanizacyi, wraz z nią ufa w lepszą przyszłość.

O ile więc postawa posłów polskich z Wielkopolski i Prus Zachodnich przy tegorocznych obradach w sejmie wywołała najżywsze zadowolenie, o tyle jak zgrzyt żelaza po szkle oddziałał na nas głos

posła ślązkiego, księdza Głowatzky'ego, reprezentanta milionowej ludności polskiej, zapewniający, że Górnoślązacy to dobrzy *Prusacy*, bezwzględnie po prusku lojalni, bezwzględnie potulni, że zwłaszcza duchowieństwo ślązkie, *żywi jak najszczerzej „pruskie“ uczucia.*

Wiemy, że ks. *Glowatzky* mylnie przedstawił usposobienie Ślązaków, wiemy, że mowa jego wywołała na Ślązku to samo niezadowolenie, tę samą gorycz, co u nas w Poznańskiem. Prawdę powiedział jedynie, przemawiając w imieniu większej części duchowieństwa ślązkiego. Jak to duchowieństwo, to jest przeważna jego część, pojmuje swoją lojalność względem *Prus* — o tem dowiedzieliśmy się ponownie z wieści o germanizacyi przez kościół w *Starym Solcu* i w innych miejscowościach *ślązkich*, germanizacyi, którą potępił nawet potulny „Katolik“, a która grzmot oburzenia wywołała wśród ludu ślązkiego.

Poseł, który nie ma zrozumienia dla uczuć swych wyborców, który w takiej chwili, w takich stosunkach zapewnia rząd o bezwzględnej *pruskiej* lojalności swych *polskich* wyborców, nie może, nie powinien być ich reprezentantem. Najważniejsze interesy narodowe wymagają wprost, aby *cała* ludność polska od Pucka do Mysłowic miała *równych* duchem i myślą reprezentantów, reprezentantów *Polaków,* takich, jakimi okazali się w tej ostatniej walce *nasi* posłowie.

Wobec świeżego tego a tak przykrego doświadczenia pytamy tedy: „Quousque tandem“ — jak długo jeszcze cierpliwie znosić to będziemy? Jak długo u nas liczni „wybitni,“ „poważni“ i niepoważni politycy i obywatele przeszkadzać będą zupełnemu odzyskaniu Ślązka i milionowej braci tamtejszej? Jak długo jeszcze tę brać milionową reprezentować mają ludzie, obcy jej *duchem?* Jak długo jeszcze lud polski cierpliwie znosić będzie *to największe ze wszystkich upokorzeń?*

Jeden naród, jeden lud — jedno uczucie — jedno *Koło polskie* w Berlinie! To hasło nasze. A jak długo na to czekać mamy?

Vester.



Miłe widoki.

Baczność! Wyborcy polscy na Górnym Ślązku! Wybory do parlamentu niemieckiego, przypadające na rok przyszły, rok 1903, będą pod niejakim względem niezmiernie ważne: Nasamprzód z tej przyczyny, że muszą nareszcie rozstrzygnąć, czy polski lud ślązki pragnie się znów na dobre, a więc i pod względem politycznym złączyć z macierzą polską, czy też nadal wysługiwać się niemieckiemu stronnictwu, niemieckim interesom (ze szkodą dla swych własnych, polskich); — *a powtóre zaś także dla naszej kieszeni.*

Posłuchajcie tylko! Przed kilku dniami ogłosił socyalistyczny „Vorwärts“ pismo urzędowe, które znów jakimś „dziwnym przypadkiem“ wiatr zawiał do jego redakcyi, a z pisma tego wynika, że zdaniem rządu uchwalona przed kilku laty budowa nowych okrętów odbywa się zbyt wolno i w niedostatecznych rozmiarach — i że najpóźniej za dwa lata *w roku 1904 rząd przedłoży parlamentowi nowy projekt powiększenia marynarki, nowe ogromne żądanie środków pieniężnych na ten cel.* Gdy pewien poseł wolnomyślny zapytał się na posiedzeniu komisyi budżetowej ministra marynarki, admirała Tirpitza, czy to pismo urzędowe jest prawdziwem a nie podrobionem, minister odpowiedział, że rzeczywiście wydane zostało przez rząd marynarki. Minister ubolewał jedynie, iż znów wykradziono je z biura rządodowego, ale jakoś zbyt się o to nie gniewał. „Tajemnicy właściwie w tem nie ma -- mówił — moglibyśmy byli ten okólnik ogłosić także w naszych organach urzędowych, boć nie zawiera on nic nowego. Przypomnijcie sobie tylko panowie — wywodził dalej — że już przy obradach nad ostatnim odnośnym projektem — zaznaczyłem, iż rząd się tem, coście nam wtedy przyznali, nie zadowoli, lecz wkrótce zażąda więcej. Szkody więc nie ma, że dokument ów ogłoszono. Może i lepiej, że naród zawczasu się dowie, o co nam chodzi i przygotuje się na nowy *niezbędny* wydatek.“

Inny poseł zaznaczył wprawdzie, iż sobie takiej zapowiedzi ministra przy przeszłych debatach nad pomnożeniem marynarki nie przypomina; minister atoli upierał się przy swojem.

To nowe powiększenie wojennej marynarki niemieckiej ma być potrzebne ze względu na *„wielką politykę“*, politykę *zamorską,* jaką Niemcy od pewnego czasu prowadzą, a wymagać będzie znów dużo, dużo milionów.

Zkąd ma je rząd wziąć? W kasie państwa i tak już niedobór, od każdej zaś nowej pożyczki trzeba przecież wysokie płacić procenty. Za rządów cesarza Wilhelma II długi państwa już się podwoiły i liczą się dziś na *miliardy.* Ostatecznie, chociażby sobie rząd i posłowie połamali głowy nad wymyśleniem innego sposobu — nie wymyślą nic innego, jak tylko to, że na ten nowy wydatek potrzeba będzie znów i to *znacznie podwyższyć cła od rozmaitych artykułów spożywczych!*

A czyż nie dosyć ich jeszcze? Od wszystkiego trzeba płacić wysokie daniny kasie państwowej, drożyzna wzrasta z każdym rokiem, a bieda coraz większa. Cóż przyniosła Niemcom ta nieszczęsna polityka zamorska, dla której teraz nowych potrzeba wydatków? Nic, prócz zatargów z innemi państwami, nowych wielkich długów i strasznego wprost zastoju w handlu i przemyśle. Wskutek zastoju tego tysiące robotników straciło pracę i chleb, cierpi dziś okropną nędzę, a i tym, których jeszcze zatrzymano przy pracy, pozmniejszano zarobki. Zkąd tu mamy tedy brać pieniądze na nowe okręty, kiedy się nie ma nieraz na suchy kawał chleba i ziemniaki z solą?

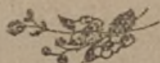
Cóż *nam* przyniosły dotychczas Kameruny, Zanzybary, Kiauczau, Gwineje i jak się tam nazywają wszystkie te nowe dzielnice wielkiego „Vaterlandu“? Ludowi nic zgoła, chyba tylko garstce spekulantów i karyerowiczów; kasę państwową zaś obciążyły blisko stumilionowym wydatkiem rocznym! Strach pomyśleć o tem, że podczas gdy w kraju tysiące ludności mrą z głodu, na samo Kiauczau wydano już razem przeszło 36 milionów marek!!

Czy też parlament zgodzi się na ten nowy wydatek na marynarkę? Któż to dziś może wiedzieć? Zależeć to będzie od tego, jacy posłowie wybrani zostaną w roku przyszłym. Stronnictwu Centrum po ostatnich smutnych doświadczeniach nie możemy ufać. Wierzymy szczerze, że na nowe ciężary nie przystanie pan major *Szmula,* nie przystanie pewnie i pan *Strzoda,* ale za panów Ballestremów oraz innych ręczyć byśmy nie chcieli. Gdy tym panom rząd zanuci piosnkę patryotyczną, gdy zaapeluje do ich uczuć niemieckich, w lot zapomną o biedzie ludu i przystaną na

wszystko. Będą potem śpiewali z zapałem: „Das Vaterland muss grosser sein“ — wy zaś, biedni robotnicy, wy kupcy rzemieślnicy i gospodarze płacić będziecie więcej na ów „większy“ „Vaterland.“ Od ust trzeba będzie odejmować, aby tylko nasycić tego wiecznie głodnego molocha militaryzmu.

Czyż zawsze prawie tak nie bywało, że gdy chodziło o „patryotyczny obowiązek“, przynajmniej połowa Centrum obalała się na stronę rządu, właśnie tyle posłów centrowych, ile było potrzeba do przeprowadzenia nowych wydatków w parlamencie?

Dlatego bracia, bądźmy czujni! Nieraz zależy w takich razach wszystko od kilku głosów. My zaś możemy, własnych naszych, polsko-ludowych posłów wysłać do Berlina conajmniej siedmiu lub ośmiu. Jeźli się na to nie zdobędziemy, jeźli dali powierzać będziemy obronę naszą ludziom, którzy nas nie rozumieją, o wolę naszą nie dbają, to potem nie narzekajmy, gdy nam bieda coraz bardziej dokuczać będzie. Lud ślązki, to przecie już nie dziecko w powijakach, sam strzedz może swego dobra, powinien tedy wybierać posłów nie „*z nakazu*“ — lecz takich, po których spodziewać się może, że go dobrze bronić będą. Takimi mogą zaś być tylko posłowie z krwi i kości ludu, *polscy* posłowie. *Verus.*



Hakata a żydzi.

Zydzi zarówno w życiu prywatnem, jak i w polityce tylko własną korzyść, własne dobro mają na oku i celu. Stroją się chętnie w narodową szatę tego społeczeństwa, wśród którego żyją, pod tą atoli szatą pozostają zawsze... żydami. Rasowy ich egoizm objawia się w całej pełni tam zwłaszcza, gdzie zbiegiem okoliczności dostali się w wir walki dwóch narodowości, gdzie mają *do wyboru dwie* szaty narodowe. Tam czepiają się zwykle strony silniejszej, posiadającej władzę w swem ręku, chyba że strona ta gwałtem ich odpycha i nic im nie daje „zarobić.“ Wtedy przechylają się na stronę słabszą, z niecierpliwością jednakże wyczekują chwili, w której będą mogli pójść znów za wrodzonym popędem i ofiarować ze *skutkiem* usługi swe mocniejszemu. Zresztą umieją znakomicie wyzyskiwać także zamęt walki narodowościowej; gdy zaś służy ich celom i dążnościom, starają się o to, aby trwał jaknajdłużej, aby między przeciwnemi stronami nie przyszło do zgody.

Tak postępują w Królestwie, pod rządem rosyjskim. Tam rząd trzyma ich zdala od siebie i nie przyznał im jeszcze takiej swobody, jaką posiadają gdzieindziej. Mszcząc się za to inteligentniejsza, rej wodząca część ich udaje Polaków. Czynią to tem chętniej, ponieważ pod maską polską tem łatwiej wyzyskiwać mogą drugą, słabszą stronę: społeczeństwo polskie, także niezadowolone z położenia swego. Wiedzą oni atoli dobrze, że z chwilą pojednania się społeczeństwa tego z rządem, z chwilą, gdy rząd przyzna mu większą swobodę ruchu i rozwoju — położenie ich stanie się bardzo trudnem, gdyż będą mieli przeciwko sobie obie strony. Wszelkiemi tedy siłami starają się temu zapobiedz, jątrzą bezustannie dawne rany i wywołują ferment niepokoju i wzajemnej nieufności. Na ich też konto zapisać trzeba niejedną niepotrzebną demonstracyą, niejedną podburzającą odezwę, która niestety wsród młodzieży naszej nadto chętny znajduje posłuch.

U nas nieco odmienną obrali drogę. Ponieważ pod rządem pruskim uzyskali od razu zupełne równouprawnienie a nawet wpływ niemały, więc też po przyłączeniu dzielnic polskich do Prus przywdziali szatę niemiecką, Dopóki jednakże polska niezaradność ekonomiczna dawała im szerokie pole do lukratywnego wyzysku, do obławiania się polskim groszem, kokietowali także z Polakami, uczyli się języka polskiego i trzymali się zdala od polityki. Dopiero gdy już się dostatecznie obłowili, gdy odebrali nam wszystko, co zabrać sobie pozwoliliśmy, gdy społeczeństwo nasze zaczęło się odradzać wewnętrznie — a w miarę tego prąd antipolski wsród Niemców stawał się coraz ostrzejszym — zaczęli się i pod względem politycznym coraz bardziej przechylać na stronę niemiecką. To, że za „zarobione“ na ludności polskiej miliony powinni okazywać nam chociaż *bierną* wdzięczność, ani przez myśl im nie przeszło. Wdzięczność bowiem nie jest przymiotem ich rasy. Przez pewien czas jeszcze politykowali, płynęli środkiem, ale nie czasem ze względu na nas, jedynie znów dla własnej korzyści, dla powiększenia swych wpływów w sprawach politycznych i komunalnych,; udawali „wolnomyślnych“, strzegących konstytucyjnego równouprawnienia, raz paktowali z tą, to znów z drugą stroną, a zawsze sami wysuwali się na plan pierwszy.

Uchodziło to, dopóki walka narodowościowa obracała się jedynie w granicach politycznych, dopóki była walką tylko między Polakami a rządem. Gdy atoli zerwał się ów prąd złowrogi, zwany hakatyzmem, gdy zmobilizował przeciwko nam całe społeczeństwo niemieckie i gdy walka stała się wręcz bezpardonową, bezlitośną, dyplomacya stała się niebezpieczna i trzeba się było jasno i otwarcie zdeklarować. Położenie Izraela „zrobiło“ się drażliwem. Żydzi widzieli dobrze, że prąd hakatystyczny wychodzi od ludzi, którzy zarazem hołdują dążnościom antysemickim, łączność z nimi nie była im na rękę — a jednak... przeszli także na stronę hakaty.

Co ich do tego popchnęło? Oto znów jedynie wyględy korzyści i zysku. „Bei den Polen — war nicht mehr viel zu holen“ — ludność polska nie daje się już tak wyzyskiwać, jak dawniej. W skuteczność odporu naszego nie wierzyli — po co tedy narażać się dla nas? Przez przejście do obozu przeciwnego spodziewali się złagodzić prąd antysemicki, a co najważniejsze, miliony, wyznaczone na popieranie „uciśnionej niemczyzny mogły przecie w części także do żydowskiej spłynąć kieszeni. Zaczęły się tedy na dobre umizgi do hakaty. Jeden z najbogatszych

żydów poznańskich publicznie na zebraniu przypomniał Niemcom zasługi żydów około szerzenia Niemczyzny na wschodzie, przy wyborach żydzi hurmem głosowali na kandydatów hakaty, a prasa żydowska, czołgając się przed jej przywódzcami na brzuchu, zapewniała uroczyście, że przecie żydzi także są dobrymi patryotami niemieckimi...

Rozczulony temi wynurzeniami jeden z przywódzców hakaty, pan Tiedemann, pragnąc widocznie bardziej jeszcze przykuć żydów do wozu „uciśnionej“ niemczyzny — wydał do nich manifest, w którym zapewniał uroczyście, że hakata nie uprawia antysemityzmu, gdyż nie chce sobie zrazić patryotycznych serc żydowskich.

W kołach wybranego narodu powstał na to radosny harmider. Tego przecie tylko pragnęli — a więc „wiwajt“ hakata! „wiwajt“ pan Tiedemann! „wiwajt“ uciśniona niemczyzna i... *miliony berlińskie!*“

Tu atoli trafiła kosa na kamień. Okazało się, że ogół hakaty mniej czule usposobiony jest dla żydów, niż pan Tiedemann. Ogół ten — chociaż z pogardą — chętnieby przyjmował usługi żydowskie, ale zyskami z nimi dzielić się nie chce. Wnet też odezwały się głosy protestu i to, pomijając już zdeklarowane blaty antysemickie, w dwóch „bardzo poważnych“ pismach hakaty, w „Deutsche Ztg.“ i „Deutsche Tageszeitung.“ Ostatni ten organ pisze: „Żydowstwo stoi od narodowości niemieckiej jeszcze daleko dalej i jest jej bardziej obcem, niż polonizm. Jeźli związek dla kresów wschodnich z tym faktem liczyć się nie będzie, natenczas nie osięgnie nic dla trwałego rozwoju niemczyzny.“

Odprawa ta — to porządne kopnięcie żydów nogą. Dostało im się — na co zasłużyli. Cóż poczną teraz? Będą oto... dalej lizali buty hakatystów, narzucali im się z swą pomocą — i z słodkim uśmiechem połykać gorsze jeszcze pigułki. Miliony berlińskie i łaska pańska, objawiona niedawno uroczyście hakacie, mają przecież blask, zbyt nęcący chciwe dusze Izraela.

A my? — My z całego serca życzymy hakacie jaknajwiększego sukcesu hufców żydowskich; oby się tak zmieszała z żydami, iżby wraz z nimi śpiewała psalmy hebrajskie i czuła się jedną duszą, jednem ciałem. To będzie dla nas najlepszą rękojmią zwycięztwa. My znamy chyba trochę lepiej żydów, niż Niemcy, nam oni dotkliwiej dali się we znaki; my wiemy jaki to żywioł destrukcyjny, demoralizujący tkwi w żydostwie. W tem właśnie największa nasza siła, iżeśmy się zupełnie już żywiołu tego pozbyli, że jesteśmy dziś społeczeństwem czystem, zdrowem, jednolitem, wolnem od obcych narośli. Gdzie to więc jeszcze nie nastąpiło, *powinniśmy sami pchać żydów w objęcia hakaty.* To ją do reszty osłabi.

Chwilowo może powiększy jej tryumf, ale tylko chwilowo! Skoro przyjdzie do podziału łupów, napewno wezmą się za czupryny i będziemy świadkami wspaniałego widowiska. Nie ulega też, naszem zdaniem żadnej wątpliwości, że z tej bijatyki o łupy żydzi wyjdą strasznie poturbowani, oplwani i skopani, ale i to pewnem, że i Niemcom tak się dostanie, iż przestaną nam być groźnymi.

Dziwnem nam też wydaje się utyskiwanie w niektórych kołach naszych na niewdzięczność żydowską i staranie o przywrócenie znów dawnych z nimi dyplomatycznych stosunków. Jakże można spodziewać się wdzięczności od.... żydów, jakże można dążyć do osłabiania sił własnych, ufności tylko we własne siły? Nie, panowie! Zbyt drogo chyba już opłaciliśmy „przyjaźń“ żydowską, odstąpmy ją tedy wrogom naszym. Niechże stanie się im także tak samo..... *„drogą,“* jaką była dla nas.

Czujny.



Nie dajmy się!

Wiemy teraz, co nam grozi. Kosztem kasy państwowej rząd wytwarzać będzie kupcom naszym i przemysłowcom, a także lekarzom, adwokatom, budowniczym i t. d. zasobną i niebezpieczną konkurencyą. Nie będziemy się tu nad tem zastanawiali ze stanowiska etycznego, bo uczyniliśmy to już na innem miejscu, ocenili to już pod tym względem i należycie napiętnowali nasi posłowie, zamiarem naszym jest wysnuć z tego nowego niebezpieczeństwa *praktyczne* wnioski. Nie ulega ot wątpliwości, że nowa taka konkurencya „półurzędowa“ zachwieje egzystencyą niejednego polskiego kupca i przemysłowca.

Nie zaszkodzi ona zapewne tym kupcom i przemysłowcom, którzy mają na sprzedaż lub produkują wyłącznie towary i wyroby dla ludu, dla szerokich warstw społecznych, to jest, jeźli warstwy te przestrzegać będą ściśle świętego wprost w takiem położeniu obowiązku kupowania tylko u swoich; da się natomiast dotkliwie we znaki tej kategoryi, której przedsiębiorstwa obliczone są na tak zw. wyższą publiczność, na zamożniejsze koła, np. handlom delikatesów, droższych materyi na suknie, handlom galanteryi i t. p. Tych powstało w miastach naszych w ostatnich czasach więcej, niż publiczność *nasza* utrzymać może. Przedsiębiorcy odnośni liczyli także na publiczność niemiecką i żydowską, i słusznie zupełnie, gdyż właśnie ta publiczność, żyjąca przeważnie z dochodów państwowych, a więc także z pieniędzy *polskich*, nie powinna bojkotować polskich składów i warsztatów. Tymczasem dzieje się inaczej. Agitacya hakatystyczna już odciągnęła znaczną część odbiorców z tych sfer polskim przedsiębiorstwom; teraz zaś, gdy agitacya hakatystyczna otrzymała sankcyą najwyższej instancyi, gdy rząd sam starać się będzie o to, aby noga Niemca nie przestąpiła progu polskiego handlu, pójdzie i reszta za tą wskazówką i składy odnośne utracą przynajmniej połowę swej klienteli. Druga polska połowa nie zdoła im tego wynagrodzić, gdyż dzisiaj wszyscy ograniczać się muszą w wydatkach. Część zasobniejsza będzie wegetowała dalej, wyczekując lepszych czasów, część atoli zniewoloną będzie zmienić rodzaj przedsiębiorstwa oprzeć się również na szerszej podstawie lub wogóle przejść do innego zawodu.

Zawczasu tedy, aby uniknąć kosztownego, a conajmniej ryzykownego zdawania się na los i szczęście, trzeba szukać nowych gałęzi zarobkowania ta-

kich, w których obyć się można bez poparcia obcych. Stara się o to nie od dzisiaj już bardzo gorliwie Patronat Związku Towarzyst przemysłowych; cóż kiedy zabiegi jego nie znajdują należytego uznania w kołach przemysłowych. Stare nasze wady, zawiść, niezgoda, niechęć do podporządkowania się *własnej* centralnej instytucyi lub władzy, stoją temu na przeszkodzie. Czy i teraz, po tej najnowszej enuncyacyi z Berlina trwać będziemy w tych naszych wadach, czy groza położenia i na tem polu nie zespoli, nie zjednoczy wszelkich sił naszych? Jeźli nie — to nie powinniśmy później narzekać, gdy bieda coraz bardziej doskwierać nam będzie.

Ale i prywatnie, każdy na swoją rękę pilnie śledzić winien rozwój stosunków, badać je i informować się zawczasu o wszystkiem. Pokażmy, że umiemy być na prawdę zabiegliwymi, że nie zbywa nam na inteligencyi i rozważnej przedsiębiorczości.

Dotychczas bowiem nie odznaczaliśmy się zbytnio w tym kierunku. Czekaliśmy zwykle, aż nam los sam co nastręczy, otworzy nowe źródło dochodu, zamiast szukać go gorliwie. Pokazało się to znowu przy sposobności ostatnich wyborów w jednem z prowincyonalnych miast naszych.

Nazwy miasta nie wymieniamy, aby nie zwrócić na nie uwagi hakatystycznych szczwaczy. Ale przedstawimy tu wiernie przebieg sprawy. W mieście tem stanął przy wyborach kompromis z żydami. Polacy, jak zwykle, dotrzymali go wiernie, żydzi zaś nietylko nie spełnili przyrzeczenia, ale nawet okazali naszym wprost *wzgardę*. Dwóch zwłaszcza żydów odpłaciło Polakom jaskrawą niewdzięcznością. Byli to obaj spedytorzy kolejowi tegoż miasta. Nadmienić tu zaś wypada, że jest to miasto przeważnie polskie, liczące do 20 większych polskich kupców i przemysłowców, tak, że spedytorzy owi głównie z nich żyli. Dali oni *słowo* honoru, że albo głosować będą na Polaka, albo wstrzymają się od głosowania, tymczasem . . . głosowali na hakatystę. Teraz dopiero przebrała się miarka cierpliwości polskim kupcom.

Porozumiano się między sobą i ustanowiono własnego, polskiego spedytora, przyczem zobowiązano się, tylko jemu powierzyć zwózkę towarów. I cóż się okazało? Oto po dokładnem obliczeniu i pierwszych doświadczeniach przekonano się, że spedytorstwo w tem mieście, oparte tylko na polskich kupcach i przemysłowcach, przynosi rocznie *12 do 15000 marek*, daje zatem sute utrzymanie nie tylko jednemu, ale dwom przedsiębiorcom!

Potrzeba było zatem dopiero tego wiarołomstwa żydowskiego, aby otworzyć Polakom oczy na zyskowne nowe przedsiębiorstwo, na to, jakie to krocie dotychczas wyrzucali w błoto, bo dawali obcym niewdzięcznikom. Czyż to nie charakterystyczny objaw naszej gnuśności i niedbałości, czy to nie dosadnia odpowiedź na twierdzenie ministrów, że my bojkotujemy Niemców i żydów? Miliony przecież zarabiali na nas, bogacili się krwawym groszem naszym i jeszcze nam wzgardę okazywali. Dość tego chyba!

Teraz żony owych spedytorów chodzą po kupcach polskich, przepraszają i narzekają, że mężom po 30 letniej pracy przyjdzie wyjść o kiju żebraczym (?!) nasi atoli, widząc jaki haracz dotychczas płacili — nie pozwolą się pewnie zmiękczyć.

A teraz pomyślmy i obliczmy, jakie to bajeczne sumy opłacamy we wszystkich miastach niemieckim i żydowskim spedytorom — ile to naszych mogłoby mieć w tej gałęzi zarobkowania dostatni kawał chleba! A przecież do zawodu tego nie potrzeba chyba „studyów fachowych“ — jeno sumienności, *punkualności* i pracy. A czyż na to nas niestać? Nawet kapitałów większych na to nie potrzeba.

Przytaczamy to jedynie jako przykład naszej niezaradności. Kiedy z nią zerwiemy? Zawodów takich, któreby bez poparcia obcych dawały naszym utrzymanie, a setki robotników naszych wyzwoliły z zależności od obcych jest jeszcze mnóstwo. Otwórzmy tylko oczy i szukajmy. Wypowiedziano nam walkę na śmierć lub życie, zapowiedziano półurzędowy bojkot. Nie czekajmy, aż nam się war za kołnierz naleje, lecz bądźmy zabiegliwi. Popierajmy patronat Związku Towarzystw przemysłowych, dostarczajmy mu materyału, miejmy oczy otwarte na wszystko, a przedewszystkiem *bądźmy solidarni* jak kupcy w rzeczonem mieście. Tylko w ten sposób uniknąć możemy strat, jakiemi grozi nam zapowiedź ministrów, Niechże Patronat Związku stanie się prawdziwem biurem informacyjnem, niech zdwoi swą gorliwość.

Położenie groźne, dola nasza ciężka. Bądźmy przezorni. *Nie dajmy się!*

Fachowiec.

Przeciwko pojedynkom.

Pojedynki — to jedna z najsmutniejszych pozostałości po wiekach średnich, w których to rozpowszechniony był zabobon, że w walce na śmierć lub życie między dwoma przeciwnikami, zwyciężyć musi ten, po którego stronie słuszność. Z tego powodu nazywano też pojedynki w bluźnierczej zarozumiałości ludzkiej „sądem Bożym“ — jak gdyby Pan Bóg wtedy właśnie miał rozstrzygnąć spory między ludźmi, gdy oni tego pragną, gdy im to na rękę! Kościół zawsze i stanowczo zwalczał ten straszny wprost zabobon, uważał pojedynek za zwykłą bójkę z zamiarem popełnienia morderstwa i karał go surowo, nawet klątwą kościelną. Niestety mimo tej stanowczości wytępić go nie zdołał głównie dlatego, że stał on się przywilejem tak zw. wyższych klas społecznych, które uważały go za jedynie godny stanu swego sposób i środek pomszczenia osobistej krzywdy i obrazy. Z czasem ujęto pojedynki nawet w ścisłą formę, w pewien regulamin, którego przekroczenie uważano nawet za gorszą niemal zbrodnię, niż zwykłe zabójstwo. Najokropniejszem atoli było i pozostało to, iż człowiek odmawiający przyjęcia wezwania na pojedynek, wzbraniający się stanąć do walki takiej, uchodził i uchodzi w kołach stanu swego za człowieka niehonorowego, któremu wolno okazywać publicznie wzgardę.

Przypuszczać było można, że rozwój kultury i cywilizacyi, pociągający za sobą pogłębienie i wydelikatnienie pojęć prawnych, przyjdzie w pomoc Kościołowi w tej walce z zabobonem. I to się nie stało. Prawodawstwa cywilizowanych narodów zachowały po dziś dzień odmienność traktowania zwykłych mordów a pojedynków. I tak, gdy za zwykły mord prawo wyznacza karę śmierci, lub hańbiącą karę ciężkiego więzienia, pojedynek podpada jedynie karze więzienia fortecznego, lub też zwykłego i to w formie, nie przynoszącej ujmy honorowi skazanego. W niektórych jedynie krajach tak zw. sfery „wyższe“ zdołały się jako tako otrząsnąć z brzydkiego przesądu tego. Tak n. p. w Anglii ogólnie nie bierze się już za złe odrzucenia pojedynku, wolno tam spory o obrazę czci w inny rozstrzygnąć sposób, ale i tam jeszcze zachodzą pojedynki dość często.

W najsurowszej formie utrzymał się zwyczaj ten po dziś dzień w *Niemczech* co również rzuca ciekawe światło na stopień kultury tego narodu. Podczas gdy w innych krajach np. we Francyi, a nawet u gorącokrwistych Włochów — wyzwanie na pojedynek kończy się w najczęstszych wypadkach nie hukiem strzałów, lecz jedynie hukiem korków wypitych przy pojednaniu szampanek — w Niemczech prawie zawsze krwi rozlewem, kalectwem lub śmiercią. Niemiecka młodzież uniwersytecka przygotowuje się już podczas studyi — tresuje się formalnie do pojedynków, uprawiając na

wielką skale rozmaite rodzaje szermierki, a dla „bursza“ niemieckiego nie ma nic zaszczytniejszego, jak szerokie blizny na twarzy od cięć rapierem. W armii niemieckiej i w pokrewnej jej tradycyą i zwyczajami armii austryackiej panuje wprost przymus pojedynkowy. Oficer, któryby na obelgę lub obrazę nie odpowiedział wyzwaniem na pojedynek — względnie pojedynku nie przyjął, nie może pozostać w armii, a nadto staje się niemożliwym pod względem towarzyskim. Nie brakło już starań i to dość poważnych, aby wyplenić ten zakorzeniony głęboko nałóg, ale starania te nie odniosły skutku. Nawet odnośne rozporządzenie cesarza, ograniczające swobodę pojedynkowania się, nie osiągnęło celu. Natura niemiecka, skłonna do gwałtów, zapalczywa — nie chce się poddać innemu sposobowi załatwiania obrazy i obelgi, jak tylko krwią i żelazem.

Świeżo zaszły w Niemczech dwa wypadki, które wstrząsnęły do głębi całą opinią i dowodnie znów okazały nonsens i brutalność pojedynków. W Wystruciu w Prusach wschodnich padł od kuli młody porucznik w przededniu ślubu swego — ponieważ w pijanym aż do bezprzytomności stanie, uderzył w twarz kolegę swego. Przed dwoma tygodniami zaś zginął w Springe w Hanowerze landrat tamtejszy von Benningsen, syn głośnego ongi przywódzcy nacyonalliberałów — w pojedynku z uwodzicielem swej żony. Ostatni ten zwłaszcza wypadek, odsłonił nam wielką zgniliznę moralną, panującą w tak zw. dobrem towarzystwie niemieckiem. Landrat Benningsen miał piękną żonę, a z nią pięcioro dzieci. W domu jego bywał syn sąsiada, niejaki von Falkenhagen, młodzieniec dwudziestokilkoletni, lecz już przeżyty i moralnie zupełnie znikczemniały. Zawiązał on stosunek miłosny z panią landratową i uprawiał go tak publicznie, że powstał stąd skandal wielki. Według kodeksu honorowego kół towarzyskich, do których należał, landrat Benningsen nie mógł w inny sposób dochodzić wyrządzonej sobie krzywdy, zmazać hańbę, rzuconą na swą rodzinę, jak przez wyzwanie uwodziciela na pojedynek. Uczynił to i poległ od kuli przeciwnika. Tenże zaś po tym „bohaterskim“ czynie pojechał do Berlina i tam wyprawiając orgie z półświatkiem, publicznie jeszcze chełpił się czynem swoim, dopóki go policya nie aresztowała. W tym wypadku więc padł nie winowajca, lecz niewinny, nie krzywdziciel, lecz pokrzywdzony, człowiek porządny, cieszący się ogólnym szacunkiem. Przeciwnik zaś jego, łotr skończony, gdy wyjdzie z więzienia, będzie dalej uważany jako człowiek „honorowy“....

Zerwała się na wieść o tem zajściu w prasie niemieckiej prawdziwa burza. Wszystkie niemal organa w mniej lub więcej dosadni sposób piętnują ten przesąd, żądają ostrych praw i kar na pojedynki, tłomaczą społeczeństwu, że czas najwyższy zerwać z tą okrutną pozostałością dawnych barbarzyńskich wieków. Atoli głosy te — to niby groch rzucany na ścianę; przebrzmią wkrótce — a pojedynki dalej odbywać się będą. Naród niemiecki nie może się jakoś zdobyć na wewnętrzne odrodzenie pod tym względem.

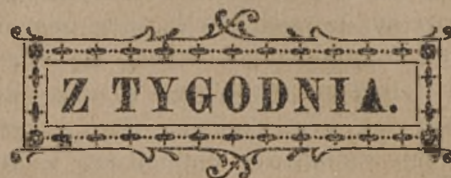
I w Polsce dawnemi czasy pojedynki zachodziły niemal codziennie. Szlachta była skorą do korda i dobywała go przy każdej sposobności — a dzielność w szermierce na szable zapewniała wielką sławę. Dziś się to zmieniło, a zmieniło radykalnie. Jak pod wielu innymi względami, tak i pod tym zapanowała u nas rzetelna naprawa obyczajów. Dziś właśnie szlachta polska przyświeca innym dobrym przykładem. W Wiedniu kapitan armii austryackiej, hr. *Ledóchowski*, bratanek kardynała, wolał porzucić służbę wojskową i świetną karyerę, jaka go czekała — a nie przyjmować wyzwania na pojedynek. U nas właśnie pośród szlachty najczęściej odzywały się poważne głosy potępiające taki sposób rozstrzygania spraw honorowych.

Świeżo pojawił się nowy głos taki. Czynny we wszystkich sprawach publicznych pan Kazimierz *Chłapowski* z Kopaszewa, członek izby panów, wydał obszerną broszurę przeciwko pojedynkom. Autor nie spodziewa się rychłego wyrugowania nałogu tego za pomocą środków prawodawczych, chociaż i te uważa za bardzo pożądane; liczy głównie na *wychowanie młodzieży*. Ono to powinno młodych nauczyć grzeczności i przyzwoitości, unikania zwad, szanowania czci bliźniego, a mianowicie szacunku dla węzłów rodzinnych. Dalej zwraca się przeciwko *plotkarstwu*, jako jednemu z głównych źródeł zwad pojedynkowych. Przedewszystkiem atoli radzi wpajać w młodzież tę zasadę, że gdy kogo skrzywdzi i obrazi — *powinna* przeprosić za to. Bardzo ciekawym jest rozdział broszury, w której autor wykazuje wszelkie usiłowania antipojedynkowe, podejmowane w Polsce.

Broszura ta powinna rozejść się w jaknajwiększej liczbie egzemplarzy, zwłaszcza w tych kołach, w których pojedynki najczęściej się jeszcze wydarzają. Oby znalazła tam posłuch chętny, obyśmy Polacy i pod tym względem szczycić się mogli prawdziwą wyższością kultury nad innymi, zwłaszcza nad tymi, którzy nam „niższość“ kultury zarzucają.

Ordon.





Z TYGODNIA.

Dzienniki niemieckie zapełniają szpalty zapowiedziami uroczystych przyjęć, jakie czekają brata cesarskiego w miastach amerykańskich. Niektóre wzmianki pozwalają wszakże wątpić o udziale Amerykanów w tych festynach i budzą podejrzenie, iż urządzają je Niemcy, licznie bardzo w Ameryce osiedleni. Tak np. znajdujemy wiadomość, że koszty przyjęcia dostojnego gościa pokryte będą ze składek prywatnych, a „Berl. Tgblt.“ donosi, że w Baltimore urzędowego przyjęcia nie będzie, „co jednak nie wyłącza najserdeczniejszych objawów powitalnych ze strony miejscowej ludności.“ Skąd ta pewność? Prezydent Roosevelt kłopocze się tylko o bezpieczeństwo gościa, którego wizyta spadła nań tak niespodziewanie. Polecił uruchomić cały sztab tajnej policyi i zwrócił uwagę właścicieli warsztatów okrętowych, gdzie zbudowany został jacht cesarski, że naród cały odpowiedzialny jest za bezpieczeństwo księcia Henryka. Z tego powodu winna być zaprowadzona najściślejsza kontrola publiczności podczas spuszczania na wodę jachtu. Wyboru gości dopełnią: sam prezydent, ambasador niemiecki i burmistrz newyorski, a nazwiska dopuszczonych również przyjaciół właścicieli warsztatów sprawdzać będzie biuro rządowe policyi tajnej.

Zdaniem „Tempsa“ pomiędzy wierszami suchej i sztywnej noty angielskiej można doczytać się jednak zaproszenia do rokowań, pod adresem Boerów, wezwania do Bothy, aby podjął nanowo układy, które w roku ubiegłym rozbiły się z winy Chamberlaina. Knyperowi można powinszować, że sprawę rokowań pokojowych wprowadził znów na porządek dzienny.

Odpowiedź przedstawicieli Boerów, przebywających w Haadze, wywołała w brukselskich sferach dyplomatycznych niekorzystne wrażenie. Upór delegatów przypisują raczej interesom osobistym, niż dążeniu do służenia ogólnej sprawie boerskiej.

W izbie magnatów w Peszcie wniósł hr. Esterhazy interpelacyę z powodu, że w komitacie Bereg egzekwowano kilkudziesięciu członków jednej gminy i sprzedano im dobytek. Egzekwowali ich ja-

koby żydzi, przybyli do Węgier z Galicyi.

Prezes gabinetu Szell w odpowiedzi na tę intepelacyę wspomniał o akcyi państwa na korzyść konsumentów w komitatach północno-wschodnich, która dotychczas przyniosła już korzystne rezultaty. Minister zapewniał, że rząd kieruje się przytem wyłącznie względami ekonomicznemi, nie zaś ustępstwami i względami politycznemi, nie da się z tej drogi sprowadzić przez żadne hasła i frazesy. Jeżeliby zaszły jakieś nadużycia, to bez żadnych względów politycznych lub wyznianowych postąpi się według brzmienia ustaw. W końcu oświadczył prezes gabinetu, że nie może na razie nic przeciw imigracyi izraelitów uczynić, i zastrzega się przeciw wyciąganiu z poszczególnych faktów wniosków w duchu antysemickim. Izba przyjęła odpowiedź tę do wiadomości.

Dzienniki wiedeńskie zajęte są żywo przebiegiem wizyty arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Petersburgu, która pod wielu względami ma charakter niezwykłego wydarzenia politycznego na tle obecnego położenia ogólnego, które zdaje się być glebą nowych idei i kombinacyi.

Jakkolwiek bowiem, wedle uroczystych zapewnień kanclerza niemieckiego, hr. Bülowa, trójprzymierze jest i pozostaje nadal „górującym związkiem centralno-europejskim, to jednak nawet dla takiego optymizmu urzędowego, o ile nie jest rażony chorobliwym daltonizmem, nie może być obojętnem owo przyjacielskie zbliżenie się Włoch do Francyi, które nie tylko topi w morzu niepamięci przejściowe nieufności i nieporozumienia, ale nawet nakreśla wspólnej, sprzymierzonej akcyi dwóch państw nowe programy.

Dla Włoch kwestye śródziemnomorskie są kwestyami kapitalnemi. Jeżeli zbliżenie się obecne Francyi i Włoch usuwa widmo rozterki pomiędzy obudwoma ludami romańskiemi na tle tych właśnie kwestyi; jeżeli Włochy nietylko przestają bać się, aby w szczelinach Wogezów nie błysnęły paszcze francuzkich dział górskich i luf karabinów; jeżeli dochodzi do tego, że obadwa państwa porozumiewają się poufnie, w jaki sposób podzielić się resztą wybrzeży północnych Afryki, dotąd tureckich, to zaiste byłaby trudna odpowiedź logiczna na pytanie: na co jeszcze Włochom przydać się może dalszy sojusz z Niemcami? Biust Goethego, świeżo podarowany przez cesarza Wilhelma miastu Rzymowi, tak często odwiedzanemu za czasów króla Humberta, nie wystarczy na cement dla sojuszu dwóch państw innej rasy, nie mających z sobą właściwie nic wspólnego, nawet wspólnych rysów cywilizacyi; gdy bowiem jedna niosła światu najwolnomyślniejsze idee humanizmu i odrodzenia artystycznego, druga zakuwała stale myśl ludzką w pancerz krwawej bigoteryi krzyżackiej lgnęła do wszelakiego wstecznictwa, wszelakiego serwilizmu.

Trudno przeoczyć fakt drugi równej doniosłości ze względu na ów „górujący związek centralno-europejski.“ Jeżeli związek ten w r. 1879 miał wedle pierwotnego pomysłu Bismarka bronić Niemiec przed koalicyą Rosyi i Francyi, genialnie przezeń przeczuwaną i jeżeli od lat kilku, a mianowicie od rewizyty cesarza Franciszka w Petersburgu, pomiędzy Rosyą a Austryą przyszło do zgodnego porozumienia w sprawach bałkańskich; jeżeli obecnie domniemany następca tronu austryackiego bawi pięć dni w stolicy rosyjskiej, przyjmowany z wyszukanemi objawami serdeczności, gościnności i czci międzynarodowej; jeżeli sam „Journal de St. Petersbourg“ w swoim wysoce urzędowym komunikacie podróży arcyksiążęcej przypisuje cel ściślejszego jeszcze wzmocnienia węzłów przyjaźni łączącej obadwa dwory i obadwa państwa, i spodziewa się z niej korzyści dla pokrzepienia idei monarchicznej zarówno, jak dla pokoju powszechnego, to niepodobna przeczyć faktu, że takie zbliżenie się dwóch mocarstw wschodnich ku sobie osłabia również aktualność owego „związku centralno-europejskiego.“ I po tej stronie bowiem Niemiec, jak po stronie Wogezów i Renu, sojusz niemiecki przestaje wydawać się sprzymierzonym z Niemcami mocarstwom — koniecznością polityczną.

A cóż dopiero, jeżeli weźmiemy na uwagę ową taryfę niemiecką, która grozi poróżnieniem Niemiec z całym ruchem ekonomicznym naszej epoki, wytwarza nowe kombinacye interesów i sił, powołane do walki obronnej z polityką celną osamotnioncj pod względem politycznym i ekonomicznym potęgi niemieckiej...

Sprawca zamachu czwartkowego na życie bułgarskiego ministra oświaty, Kanczewa, Karandjułow, liczący lat 32, urodził się w Prylepie macedońskim. Był profesorem historyi w gimnazyum, ale z powodu swych ekstrawagancyi i stosunku z pewną nauczycielką przed trzema laty już otrzymał dymisyą. Odtąd oblegał wszystkich zmieniających się często w Bułgaryi ministrów oświaty o miejsce nauczyciela w Sofii. Dopadł wreszcie biednego Kanczewa,, który od miesiąca dopiero był ministrem, i pomścił się na nim straszliwie swej „krzywdy.“

Minister — jak się okazuje — bronił rozpaczliwie swojego życia. Suknie jego były poszarpane w strzępy, laska Karandjułowa połamana. Zbrodniarz dał sześć wystrzałów rewolwerowych do ministra, zanim trafił mu w serce. Służba i urzędnicy, zamiast ratować szamocącego się ze zbrodniarzem ministra, pobiegli po — policyą. *K. G.*



PRZEGLĄD PRASY.

Z powodu trzydziestodziewiątej rocznicy powstania styczniowego z r. 1863, które bez zaprzeczenia na całą Polskę sprowadziło nie obliczone klęski pisze **„Goniec Wielkopolski“** w artykule p. t. „Następstwa powstania z 1863 r.“ między innemi:

„Wnosząc z tradycyjnej polityki rządu moskiewskiego, z odwiecznych jego zamiarów i celów, ugruntowanych mianowicie przez Piotra Wielkiego, z pewnością twierdzić można, iż te same klęski spadłyby na nasz naród, gdyby powstania nie było. Dowód na to w historyi polskiej. Od czasu porwania senatorów polskich i wywiezienia ich w głąb Rosyi, podczas gdy król polski siedział jeszcze na tronie, od konfederacyi barskiej, od 1768 r., a więc cztery lata przed pierwszym rozbiorem Polski do 1863 r., widzimy to samo, na co patrzymy od powstania styczniowego do dni dzisiejszych.

„Natomiast korzyścią powstania było **ostateczne zbliżenie wszystkich klas narodu do siebie.** Wzięła w niem udział cała szlachta, czego dowodem tysiące męczenników z tej klasy rozstrzelanych i powieszonych, tysiące wygnańców wysłanych do ciężkich robót i na Sybir, nareszcie tysiące skonfiskowanych dóbr i nieustanne prześladowanie szlachty. Wzięło w niem udział całe mieszczaństwo, które dotąd odgrodzone od szlachty, w niczem tejże nie ustąpiło, teraz ani w ofiarności, ani w poświęceniu męczeńskiem. Wzięli w niem udział włościanie, których zesłano na wygnanie około 60,000. Zatem powstanie 1863 r. było powszechnie narodowem.“

Potępianie powstania 1863 r. jest bezpodstawne. Wynikło ono jako nieubłagana konieczność zdarzeń i ściągnęło wprawdzie nie małe nieszczęście (po większej części materyalne) na kraj, lecz bądź co bądź, poddanie się tej konieczności, przyjęcie w niej udziału przynosi chlubę narodowi, który długo znosił, cierpiał, ostrzegał, prosił, lecz — **nie chciano go słuchać!**

Lutowy zeszyt **„Przeglądu polskiego“** zawiera następujące znamienne uwagi z powodu ostatnich zajść we Lwowie:

„Gdyby Prusacy byli obstalowali, gdyby byli najęli, nie mogliby wymyśleć i urządzić nic dla siebie lepszego, jak ta demonstracya, która się patryotyczną mianowała. Służy im ona i będzie służyła długo, za dowód niby tej agitacyi polskiej, która ma niby powodować i tłomaczyć ich bezprawia. Potem służy im

doskonale wobec rządu rosyjskiego. Po procesie wrzesińskim był w Warszawie tłumny pochód do konsulatu pruskiego i zrzucenie czy uszkodzenie pruskiego orła. Już to było złe, niemądre, bo dawało Prusom jakiś powód do skarg, poprawiało ich trudną i fałszywą pozycyą. To jest nierównie gorsze. W chwili, kiedy prasa rosyjska występowała szczerze czy nieszczerze, ale uczciwie w sprawie wrzesińskiej, obrażać narodowe uczucia rosyjskie było niedorzecznością krzyczącą. Dla rządu pruskiego zaś broń pożądana i nader poręczna do użycia w Petersburgu.

„Widzicie, że to nie tylko o nas chodzi i o nasze procesy i wyroki; na wasz konsulat i na waszego orła była napaść taka sama, jak na naszego, i to gdzie, tam, gdzie cały rząd krajowy jest w ręku Polaków. Zastanówcież się nad tem i wyciągnijcie z tego logiczny wniosek, że z Polakami tylko tak postępować jest roztropnie, jak postępowali Milutyn, Czerkawski i Murawiew.

„Broń ta będzie użyta i w Wiedniu. „Austrya winna. Ona, dając Polakom swobodę narodową, wychowuje w swojej części polskie dążności i działania, niebezpieczne dla dwóch państw ościennych. Zatem Austrya musi z Polakami postępować inaczej, albo przypisać sobie następstwa."

Zajścia we Lwowie są tak dalece wodą na młyn pruski, że naturalnie przypuszcza się obcą intrygę, rękę obcego agenta i prowokatora. Czterdzieści lat temu Baerensprung i Post wymyślili całą konspiracyę polską i sfałszowali dokumenta, które ją miały stwierdzać: tak samo teraz obcy agent mógł urządzić ową demonstracyą we Lwowie. — puszczenie jest naturalne, nie jest dowiedzione i pewne; można przypuszczać, nie można twierdzić.

Nie można, zaś, niestety, zaprzeczyć, że są polskie wpływy, które mogły sprawić to, co ze stanowiska polskiego jest arcydziełem głupstwa, a ciężką winą względem narodu. Znamy tę politykę, której hasłem jest: „Im gorzej tem lepiej...."

O procesie p. dr. Krzyżagórskiego z Wrześni, pisze gnieźnieński „Lech":

„Dnia 8-go b. m. stawał przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Gnieźnie p. dr. Krzyżagórski z Wrześni, oskarżony o obrazę nauczyciela Schöltzchena z Wrześni. Dr. Krzyżagórski, słuchany swego czasu jako znawca w sprawie przeciwko p. Jerszyńskiemu z Wrześni, o nieposyłanie dziecka do szkoły zeznał, że mały Jerszyński miał siedzenie tak zbite, iż nie mógł siedzieć, a że oprócz tego miał szczepioną ospę i gorączkował, więc kazał rodzicom zatrzymać dziecko w domu.

„Pan Winter, znany inspektor szkolny i pan Schöltzchen, ten który w pamiętnym dniu 20-go maja dzieciom wrzesińskim wydzielał razy za nieodpowiadanie w nauce religii po niemiecku, podali przeciwko dr. K. wnioski o ukaranie za obrazę, i prokurator wytoczył oskarżenie.

„Sąd uwolnił p. dr. Krzyżagórskiego od kary, ponieważ sędzia Rheinfart z Wrześni zeznał jako świadek, że p. K. zeznanie swoje przed nim, jako sędzią ławniczym złożył z wszelkim spokojem, bez najmniejszego uniesienia się i że gdyby lekarz był użył wyrażeń, ubliżających nauczycielom, byłoby to mu podpadło i byłby to jako przewodniczący zaraz zganił. Natomiast kilku nauczycieli wrzesińskich, Koralewski i t. d., zeznali, że pan dr. Krzyżagórski przy zeznaniu swojem był mocno zirytowany.

„Sąd przychylił się do zeznania sędziego Rheinfarta i uznał, że dr. K. nie miał zamiaru obrażenia Schöltzchena.

„Fizyk powiatowy, Izrael Michaelsohn, zeznawał, że dr. K. wydał kiedyś opinią lekarską, której on, fizyk, nie uznał za odpowiednią. Na pytanie obrońcy, który z lekarzy ma więcej praktyki między niemieckiem obywatelstwem, przyznać musiał p. Izrael Michaelsohn, że p. dr. K. ma znacznie większą praktykę lekarską nawet między Niemcami!"

Zajścia w gimnazyach w Siedlcu i Zamościu w Królestwie Polskiem z powodu wykładu nauki religii katolickiej dla gimnazyastów Polaków w języku rosyjskim rozciągną się prawdopodobnie i na inne gimnazya. Wzburzenie podobno panuje silne i w innych szkołach, gdzie religia jest wykładana po rosyjsku, nie tylko w Królestwie, ale i w Kraju Zabranym, przedewszystkiem zaś w Wilnie. Chociażby zresztą zajścia ograniczyły się do dotychczasowych, do Siedlec i Zamościa, sprawa już posiada doniosłość polityczną.

„**Przegląd Wszechpolski**" takie między innemi w tej sprawie słuszne czyni uwagi:

„Zajścia siedleckie zmuszą ludzi do myślenia o stosunkach tutejszych, o własnem położeniu — i to będzie ich wielka korzyść. Dopełniają one wpływu sprawy wrzesińskiej, ściągając jeszcze bliżej, niż ona, myśl społeczeństwa do spraw własnych, do własnego położenia, unaoczniając mu potrzebę walki z uciskiem. Poczucie potrzeby oporu przeciw germanizacyi, które tak szybko zaczęto wytwarzać z pozwolenia cenzury rosyjskiej dzięki tym wypadkom musi się rozszerzyć i na rusyfikacyę. Września, dopełniona Siedlcami, dopiero nabiera tego znaczenia w życiu narodu, przy którem nie może być użytkowana na jego szkodę.

„Z politycznego tedy punktu widzenia, zajścia siedleckie mają znaczenie bardzo doniosłe i jakkolwiek kosztowne mogą one być dla młodzieży, doniosłość ich będzie niewspółmierną z ofiarami. Tymi z pośród młodzieży, których spotka prześladowanie władzy, społeczeństwo winno się zająć jak najrychlej i najtroskliwiej. Należy im się to w zupełności, a w naszem położeniu ta właśnie młodzież przedstaw.a materyał, z którego wyrosną najpożyteczniejsi ludzie."

B.M.



Listy od przyjaciół.

Z prowincyi, d. 10 II 1902.

Szanowna Redakcyo „Pracy!"

Czytając w nr. 4-ym „Pracy" wspomnienie o ostatnich oficerach wojska polskiego z r. 1831, mianowicie o panu Leopoldzie Paliszewskim (z 189 pułku piechoty) osobiście mnie dobrze znanym, pozwalam sobie przesłać mały wyciąg przygód z życia weterana zamieszkałego w wileńskiej parafii. Mało zapewne takich, którzyby tyle doznali i cierpieli za sprawę dobrą, ręczę, że te kilka słów, które Szanowna Redakcya raczy umieścić, zainteresują czytelników „Pracy".

Czytelnik „Pracy".

* * *

Maksymilian Kosiński urodził się w r. 1812. Jako młodzieniec 18 letni, uczeń gimnazyum leszczyńskiego, bawiąc przypadkowo z ojcem, kapitanem armii Napoleońskiej, w Warszawie 29 listopada 1830 pośredni miał udział w zajęciu Belwederu. Następnie zaciągnął się do pułku strzelców pod dowództwem majora Suchodolskiego; 14 lutego 1831 był czynnym w bitwie pod Dubnem, 19 lutego w bitwie pod Grochowem, 9 maja ranny pod Ostrołęką. Później należał do wyprawy na Litwę pod jenerałem Chłapowskim, 15 czerwca walczył pod Malinówką, 28 czerwca ranny w bitwie pod Wilnem, w której rozbito wojsko polskie, gdyż jenerał Giełgud, mimo kilkakrotnego wezwania, z pomocą nie nadszedł. Cofające się rozbitki spotkały po drodze korpus jenerała Ramorino, dążącego do Warszawy. W Brześciu litewskim napadnięty przez Moskali Ramorino uchodził z swym korpusem ku granicy austryackiej; stoczył z nieprzyjacielem kilka utarczek, widząc nareszcie, że się nie oprze przemagającej sile nieprzyjacielskiej pod miasteczkiem Słomniki złożył broń. Ramorino przeszedł granicę, wojsko wzięto do niewoli, z niem i Maksymiliana Kosińskiego; pędzono ich pojedyńczymi oddziałami na Kijów, Smoleńsk do Kazania, gdzie nasz weteran z majorem Łukasińskim niejakiś czas przebywał, chłodem i głodem przymierając. Łukasiński wplątany w spisek bojarów rosyjskich uszedł aresztowaniu, zabrawszy ze sobą Kosińskiego dostali się do Petersburga, zkąd morzem zbiedz postanowili za granicę, niestety na pokładzie statku przy rewizyi paszportów, które jak się okazało, były podrobione, aresztowano obydwóch, śledztwo wdrożono i skazano ich na wygnanie i posielenie do półwyspu Kamczatki. Podróż kibitką trwała 4 miesiące, wieziono ich na Jekateryn, Tobolsk, z Tobolska reniferami przy trzaskającym mrozie przez gubernią flimińską, żywiąc się po drodze rybami złowionemi, do miasta Irtysz. Z Irtyszu psim zaprzęgiem przez Tomsk do Ochocka, gdzie ich dla wygojenia odmrożonych członków niejaki czas zatrzymano.

W Ochocku wsadzono Kosińskiego i Łukasińskiego na statek rządowy i przewieziono do Kamczatki; przybyłych do portu Bolsza stawiono przed gubernatorem, który im następujący przeczytał reskrypt w obecności kilku innych wygnańców:

„Najjaśniejszy Syn słońca, Najmiłościwszy Wszechwładny batiuszka, car niepojęty od Raju aż do tutajszych śniegów, urodzona miłość, przebacza wam wszystkim najcięższą obrazę, za którą każdy z was zasłużył sobie karanie najstraszniejszą śmiercią,

a potem wieczne piekło. Ale ze względu na swe nieograniczone miłosierdzie, aby dusze wasze wybawić od wiecznego piekła, wysłał was tutaj pomiędzy najlepsze i najstarsze dzieci, abyście tutaj mogli za tak ciężki grzech i obrazę Syna słońca Najjaśniejszego odpokutować i dusze wasze od wieczystego czarnego piekła wybawić.“

Po wygłoszeniu tego czułego dokumentu otrzymał każdy posieleniec fuzyą krzemienną, funt prochu, 5 funtów ołowiu, długą włócznię, piłę i łopatę do zbudowania sobie szałasu i żywność na 3 dni, troskę o dalsze utrzymanie pozostawiono wygnańcom. Smutne i opłakane życie rozpoczęło się dla Kosińskiego, gdyż prócz starania się o utrzymanie każdy posieleniec złożyć musiał do skarbu rocznie:
dwie skóry białego niedźwiedzia,
dwie skóry siwego i dwie czerwonego lisa,
jednę skórę bobra i dwie torbanosia,
dwie skóry czarnej i dwie popielatej kuny,
cztery skóry gronostajów,
jednę skórę sobolową.

Blisko dwa lata, będąc przyłączonym do oddziału pod przewodnictwem majora Łukasińskiego, pędził Kosiński śród śmiertelnych zapasów z dzikiem zwierzem nędzny żywot na miejscu wygnania w lodowatej strefie Kamczatki tęskniąc za krajem rodzinnym, a będąc 22 letnim młodzieńcem marzył, że może kiedyś jeszcze ujrzy swoich, lecz wydobyć się z Kamczatki było czczem marzeniem, niepodobieństwem, a jednak to marzenie się ziściło.

W Bolszy, w mieście portowem Kamczatki, utrzymywał rząd kilkanaście lichych łodzi, część tychże służyła do przewozu produktów i towarów z półwyspu do Ochocka, drugą część wynajmowali kupcy tamtejsi, którym do obsługi statków wolno było przybierać sobie posieleńców. Na jednej z tych łodzi, przeznaczonej na podróż do wysp kurulskich celem polowania na bobry i czarne lisy znajdował się Kosiński i Łukasiński z kilkunastu wygnańcami. Po kilkudniowej wyprawie, wracając z znaczną zdobyczą, napotkali statek kupiecki holenderski, a poznajomiwszy się z załogą tego statku powzięli wygnańcy zamiar ucieczki, do której im Holendrzy, otrzymawszy kilkadziesiąt snopów skór bobrowych i lisich, pomogli. Omówiono sposób i kierunek żeglugi, przeciwnych ucieczce wrzucono w morze i dalej w drogę. Okropna to była podróż przez morze lodowate nędzną łodzią; tydzień cały w ciągłem niebezpieczeństwie rozbicia o krę lodową; szczęśliwie atoli przebywszy morze lodowate wpłynęli wygnańcy na morze Japońskie, tu kilka razy groziło im pojmanie przez korsarzy chińskich, nie pozwalano im do żadnego portu przybijać. Żywiąc się trawą morską i rybami ułowionemi płynął nasz weteran z towarzyszami dalej morzem Indyjskiem, Atlantykiem i po najrozmaitszych przygodach, minąwszy cieśninę Gibraltaru do portu Genui zawinęli. Pieniędzmi ze sprzedaży statku się podzieliwszy, wygnańcy się pożegnali. Kosinski piechotą (bo go z pieniędzy w pewnej gospodzie obrano) w swe strony się udał. Rozmaite przechodząc koleje życia osiadł ostatecznie w wsi Drawsku, gdzie dotąd 90 letni weteran, nader rzeski umysłowo i fizycznie u dzieci swych przebywa.

* * *

Z Gniezna, w lutym.

Znów minął rok, znów o cały rok oddaliliśmy się od sławnej naszej przeszłości przed utratą niepodległości, od tej strasznej chwili rozbioru naszej Ojczyzny, gdy to wrogowie nasi na wszelkie tony śpiewali nam „finis Poloniae“. A jednak żyjemy, i oto rok nowy ujrzał nas silniejszymi i weselszymi, niż jego poprzednik. Zagrała w nas znów gorąca krew polska, zatętniło nowe życie!

Bracia, pytam się, któż nam czyni tak wielkie dobrodziejstwo, przez rozgrzewanie krwi naszej, przez budzenie nas z letargu? Krótka na to odpowiedź: „Nasz nieprzyjaciel.“ On nas budzi, on dodaje nam otuchy i daje nam świadectwo, iż jesteśmy narodem, narodem całym, jednością silnym, narodem, który śmiało może patrzeć w przyszłość, który nie łudzi się wcale, jeżeli się spodziewa wolności, Ojczyzny wolnej i swobodnej. Najnowszym dowodem, iż jesteśmy narodem jednym, całym, jest sprawa wrzesińska. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść o niej po całej Polsce od pałaców do chat wieśniaczych, wszędzie budząc litość nad nieszczęśliwymi braćmi i siostrami, wzbudzając wstręt ku wrogom, starającym się zabrać nam najdroższe skarby: język polski, język Sobieskiego i Kościuszki; religią rzymsko-katolicką a z tem i narodowość naszą.

Drugim dowodem, iż żyjemy jest pociąg młodzieży naszej do ideałów pięknych i szlachetnych!

„Szczęśliwym jest naród“, czytałem w „Pracy“, „który ma taką młodzież, jak my Polacy“. W młodości panuje zapał, cuda tworzący, nadzieja, życie płynie w przyjaźni, a celem jest szczęście wszystkich, powiada nasz król pieśni Adam Mickiewicz. Poeta ten powiada dalej: Młodość, sięgająca, gdzie wzrok nie sięga, łamiąca zapałem, czego rozum złamać nie może, powinna opasać swymi łańcuchy całą ziemię, a wtedy prysną przesądy, zajaśnieje swoboda i zbawienie. Nie potępiamy więc dążeń naszej młodzieży, gdyż gdzie latorość zdrowa, tam też zwykle i drzewo zdrowe.

Taka nasza dola. Przeszła nasza wolność, jęczymy teraz w niedoli. Lecz nie upadajmy na duchu, idźmy wciąż naprzód pod sztandarem bożym, pod zasłoną puklerza bożego, o który wszystkie gromy i pociski wrogów się odbijają. Z dniem każdym zbliża się dzień, w którym zabrzmi trąba, zwiastująca *nam* lepszą dolę — *wrogom* zaś uspokojenie i karę! — i ponownie zabrzmi od Bałtyku do Karpat pieśń „Jeszcze nie zginęła.“ *Polonus.*

* * *

Pittsburg, Pa., dnia 9. 1. 1902.

Proces wrzesiński głośnem echem odbił się prawie po całej Ameryce — i wywołał oburzenie już nietylko między tutejszymi Polakami, ale nawet między Amerykanami. Wszystkie gazety amerykańskie umieszczały specyalne telegramy o tym procesie — i pisały dotąd niebywałe ostre artykuły przeciw systemowi pruskiemu. Oburzenie zaś waszych Braci — Polaków tu w Ameryce, jest wprost nie do opisania. Gdy tylko rozeszła się wieść o wyroku wrzesińskim, a przedewszystkiem, gdy doszedł do nas głos Sienkiewicza, posypały się z wszystkich stron, gdzie tylko są Polacy, obfite składki na biedne sieroty wrzesińskie. Dotąd, liczyć można, zebrano około 15 tysięcy marek.

Więcej jeszcze, w wszystkich większych osadach polskich, bywają urządzane wiece — w celu zaprotestowania przeciw niebywałemu dotąd wyrokowi wrzesińskiemu — i wogóle przeciw tak niesprawiedliwemu traktowaniu Polaków przez rząd pruski.

Jednym z największych i najpierwszych był wiec Polaków w Pittsburgu. Jest tu nas wszystkich około 60 tysięcy. Zwołaniem tegoż wieca zajęli się Wieleb. ks. Prob. Cezar Tomaszewski, dr. Sadowski cenzor Związku Narodowego i L. Machnikowski, redaktor „Wielkopolanina“ Pittsburskiego. Wiec odbył się 29 grudnia na sali ratuszowej. Mimo niepogody, zimna i odległości, stawiło się przeszło 5 tysiecy Polaków. Miasto Pittsburg wysłało swego specyalnego reprezententa — który zaraz na wstępie wyraził w imieniu obywateli amerykańskich, najgoretszą sympatyę tak skazanym we Wrześni jak i wszyskim Polakom. Na sali wiecowej znajdowało się wielu Amerykanów. Marszałkiem wieca obrano X. Prob. Tomaszewskiego. Przemawiało kilku mówców amerykańskich i kilku mówców polskich. Żałuję bardzo, że nawet w streszczeniu nie mogę podać mowy wypowiedzianej na wiecu — bo z pewnością wasz redaktor odpowiedzialny musiałby odpokutować w więzieniu „bezczelność“ Polaka Amerykana. Zaznaczę tylko, że na wiecu były reprezentowane wszystkie Towarzystwa, niektóre w strojach narodowych, że uchwalono stósowne rezolucye, i że zebrano zaraz na sali 210 dolarów t. j. 840 marek. Dotąd Polacy w Pittsburgu zebrali na dzieci wrzesińskie około 4 tysięcy marek — które to pieniądze ma w opiece X. proboszcz Tomaszewski — a tenże takowe nadeśle komu należy. — Przy stole prasowym zasiadło kilku reporterów angielskich.

Faktem może najwięcej pocieszającym jest z pewnością to, że na wiec przybyli zgodnie Polacy z wszystkich obozów — bo niestety zaznaczyć muszę, że nieszczęśliwie Polacy w Ameryce, dzielą się na obozy a raczej partye. Proces wrzesiński miał więc przynajmniej ten dobry skutek, że połączył Polaków choć tylko na chwilę w zgodne kółko — że zwrócił więcej ich uwagę w stronę ojczyzny. Podobne wiece urządzić mają Polacy i w innych miastach.

Na dzisiaj zakończyć muszę te kilka słów — bo nawał pracy nie pozwala mi więcej pisać — ale obiecuję wam na później dłuższe korespondencye o Polakach w Ameryce. (Bardzo prosimy. Przyp. Red.) Tymczasem przesyłam Szan. Redakcyi moje najgoretsze współczucie z powodu licznych procesów — i zarazem najserdeczniejsze pozdrowienie od Polaków z Pittsburga dla wszystkich Rodakrw w starym kraju! Cześć Wam!

Zawsze — Polak.

Stabat Mater.

I.

Zagasło słońce,
W chmurach ginące,
Ziemia w posadach drżała;
Pod krzyżem onym,
Krwią obroczonym,
Bolesna matka stała.

Z wyżyn Golgoty
Żołdaków roty
Odeszły w wielkiej trwodze,
I tłum rozżarty,
W ciemność wyparty,
Upadł na duchu srodze.

Owo się stało:
Wieczne — skonało!
Bóg ludzką śmiercią ginie!
Usta niemieją,
Duchy truchleją
I szatan włada ninie!

II.

I owo zdjęto
Ofiarę Świętą
Z krwią zbryzganego krzyża,
Do rąk przebitych,
Łzami obmytych,
Garstka się uczni zniża,

Przez puste pola
Idzie zła dola,
A z wiatrem mknie płakanie:
„Przecz śmierć wybrałeś?
Złu tryumf dałeś?
Przecz nas odszedłeś, Panie?“

A panna Święta,
Jak róża ścięta,
Na zewłok syna pada;
Cierpiąc męczarnie,
Do piersi garnie
I sercem z sercem gada!

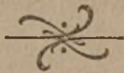
III.

A znagła oto
Jasnością złotą
Zabłyśnie twarz spłakana;
Oczy podniesie,
Jakby w bezkresie
Wschodziła zorza różana.

Ona jedyna
Nie płacze Syna,
Gdy wszyscy z żalu mdleją.
I szepce tkliwie:
„Żywie On! żywie!“
I usta Jej się śmieją,

Słowo potężne,
Błękitusiężne,
Jakby anielskie granie,
Leci krainą:
„Czekajcie ino
I wierzcie: Zmartwychwstanie!“

Or-ot.



Katakumby.

(Do illustracyi albumowej.)

Rzym cesarski już w IV wieku po Chrystusie otaczało kilkadziesiąt cmentarzów chrześcijańskich; liczba ich dochodziła do sześćdziesięciu, każdy z nich zaś nosił imię spoczywającego tam świętego lub świętej.

Istniały zatem grzebowiska św. Nereusza i Achillesa, św. Agnieszki, św. Pankracyusza, Praetextata, Priscilli, Hermesa, oraz inne. Niektóre natomiast nazywano stósownie do ich położenia.

I tak cmentarz św. Sebastyana nosił również miano „ad Catacumbas.“ Ta nazwa „ad Catacumbas“ oznaczała nasamprzód wyłącznie ten cmentarz, potem się rozszerzyła do innych, aż wreszcie nazwano wszystkie grobowiska podziemne katakumbami.

Są to istne miasta podziemne, z swojemi krużgankami, chodnikami i galeryami, które w jedną całość, w jedną ulicę złożone, utworzyłyby korytarz, na 175 mil geogr. długi. W niszach, wybitych po obu stronach owych krużganków, spoczywa w spokoju przeszło 6 milionów wiernych, acz już pod koniec IV wieku przestano chować w katakumbach.

Jak urządzano katakumby?

Wejście do katakumb zagłębiało się nagle schodami prostopadłemi, przez pokłady piasku miałkiego do tej głębokości, na której piasek zamienia się w miękki, lecz już stały kamień.

Tutaj rozpoczyna się pierwsze piętro cmentarza; ztamtąd spuszcza się schodami coraz niżej na piętro drugie, oraz trzecie.

Katakumby dzielono zwykle na trzy części: na korytarze czyli ulice; na komory czyli czworokątne place obszerne i na kościoły.

Korytarze są długie i wązkie, wykute dość regularnie, tak, iż posadzka, oraz sufit, składają kąt prosty z ścianami czasem tak do siebie zbliżonemi, że dwie osoby z trudem wielkim mogą iść obok razem. Niekiedy przebiegają one długą przestrzeń w prostej linii, lecz pokrzyżowane z innemi korytarzami, które również są pokrzyżowane jeszcze innemi, słowem całość tworzy labirynt istny, istną sieć gęstą podziemnych ulic, oraz uliczek.

Sciany korytarzy, a nawet ściany studni schodowych, są zapełnione grobami; owe groby posiadają kształt framug i większych i mniejszych, dostatecznie długich do pomieszczenia ciała ludzkiego, dorosłego lub dziecinnego, bokiem do korytarza. Idą one rzędami wzdłuż ścian; rzędów takich, jeden nad drugim, od posadzki do sufitu, bywa czternaście niekiedy, zwykle przecież trzy lub cztery.

Ciało owinięte w prześcieradła, tudzież chusty, składano w tę ciasną komórkę, poczem otwór zamykano bądź taflą marmurową, bądź częściej, co było sposobem tańszym, dachówkami szerokiemi, zafugowanemi w kamieniu i zakitowanemi cementem. Napis rzeźbiono na marmurze lub wyciskano na niezaschniętem wapnie.

Dwie zasady, tak dawne jak i chrześciaństwo samo, zrodziły sposób chowania w katakumbach.

Pierwszą z nich to naśladownictwo sposobu, w jaki pochowano Chrystusa.

Zbawiciela złożono do grobu w pieczarze, owiniętego prześcieradłami, i korzeniami nabalsamowanego, a wreszcie wmurowano jako płytę, grób zamykającą, kamień sporych rozmiarów.

A ponieważ św. Paweł tak często podaje Jezusa Chrystusa za wzór zmartwychwstania wiernych i mówi, że zostaliśmy wraz z nim w Chrzcie świętym pogrzebani, nic przeto dziwnego, iż wyznawcy Jezusa pragnęli być pogrzebanymi na Jego wzór, aby oczekiwać wraz z Nim zmartwychwstania.

Drugą myślą przewodnią, która nakłaniała do urządzenia podobnych cmentarzy, był właśnie spoczynek w oczekiwaniu zmartwychwstania. Słowa „pogrzebać“ nie znają napisy chrześciańskie.

Zazwyczaj używano wyrażenia „złożony w pokoju“ i „złożenie“ depositio.

Znaczyło to, że umarli jedynie tymczasowo spoczywają w owem miejscu, czekając wezwania. Już nazwa cmentarz, od wyrazu greckiego „kojmain“ — usypiać pochodząca, stwierdza, że jest to właściwie miejsce, w którem wielu spoczywa niby w sypialni, czekając w uśpieniu, póki nie nadejdzie dzień zmartwychwstania.

Grób zwykle zwano „miejscem“ (locus, loculus) albo domkiem zmarłych w Chrystusie.

Jak długo chowano wiernych w katakumbach?

Wspominaliśmy, że pod koniec wieku IV po Chr., gdy ucisk już ustał, chrześcianie przestali chować swych zmarłych głęboko we wnętrzu ziemi, a zaczęli tuż pod jej powierzchnią.

Papieża Damazego, który wyzionął ducha w 384 r. po Chr. już w katakumbach nie pochowano.

Józef Kremer w swej „Podróży do Włoch“ (Warszawa, 1879) opisuje wrażenie, jakie na niego katakumby wywarły słowy bardzo podniosłemi.

„Postępowaliśmy — pisze — bez ustanku po labiryncie zawikłanym korytarzów. Droga ta wznosiła się w górę, to znów zniżała się w głąb.

„Ciżba labiryntnych korytarzy, tych ulic, galeryi, przeszywająca jakby stolnie górnicze ten gród podziemny, tak jest nieprzeliczoną i pogmatwaną, że w niej myśl ginie, nie mogąc się pochwytać i upamiętać.“

A dalej:

„Atoli natchnienia rzewne, jakoby w jaką najświętszą uroczystość życia przejmowały nas, gdy przewodnik zatrzymywał się w ogniskach najważniejszych tego grobowego świata. Były to przestrzenie obszerniejsze a nierównie wyższe, ku którym, jak tętna do serca, biegły korytarze wraz z całą swoją ludnością umarłą.

„Na ścianie głównej tej kaplicy łuk, niby niża głęboka, w niej niegdyś w sarkofagu spoczywały kości świętego męczennika.

„Po innych ścianach mieściły się groby najbliższych czcicieli jego i znów w samym wstępie legli inni bracia, jakby warty świętego przybytku.

„W sąsiednich korytarzach, galeryach znowu pełno grobów, w których się chowali jego towarzysze w życiu, w biedzie, w troskach jako rzesza wierna do śmierci. Bo każdy z nich z kolei na łożu skonania dla pociechy swojej gorąco zapragnął, aby zwłoki jego złożono wśród swoich.

„A społeczność Chrystusowa wśród życia zawiązana przeżyła śmierć doczesną, wziąwszy sobie za hasło wspólność grobów, niby wspólnej w Bogu sypialni. A wszyscy garnęli się po skonie około tej kaplicy, około grobu męczennika „jakoby pszczółki około macierzy swojej a królowej. Oni posnęli uśpieni słodkim snem pod śpiewem aniołów, a są nam obecni nieśmiertelnym żywotem.“

Istotnie chrześcianin prawy i szczery, nie może bez wzruszenia głębokiego zwiedzać tych miejsc świętych.

„Patrzysz w górę — pisze wyżej wymieniony estetyk — tam powyżej, tam na ścianach, pod stropem kaplicy roztwierają się galerye ciemne, co niekiedy patrzą jakby arkady murowane, niekiedy jakby pieczary na surowo w skale wykute.

„Te otwory są przedłużeniem chodników, galeryi wyższego piętra, a bywały w tych miejscach na jaw wyłamane, by błagająca, modląca się gromadka zdołała rychlej się ze wszech stron zebrać i choć od góry usłyszeć naukę, pociechę i ostateczne pożegnanie z ust Bogiem natchnionego brata, co już gotowy na męczeńską ofiarę czekał jedynie wezwania Pańskiego. Tak i tam u góry w tych jaskiniach stali bracia miłości i męki, wtórując rzeszy, która tu na dole gęstą ciżbą obległa trumnę poprzednika w męczeństwie.

„Tłumy kagańców płonących od góry, i tłumy kagańców u dołu rozświecały ciemnice, jakby przewodnie gwiazdki Boże.

„Owe galerye a chodniki, przebiegając ścianę kaplicy pod stropem jej, najczęściej ją łączą z innemi kaplicami, w których znowu legli na wawrzynach Chrystusowych tryumfatorowie wiary.“

Trzeba przytem pamiętać, iż katakumby są równocześnie najświętszem, oraz pierwszem ogniskiem sztuki chrześciańskiej, zarówno malarstwa chrześciańskiego, jak i chrześciańskiej rzeźby.

Malowanie było symboliczne, pełne głębokiego znaczenia. Wyziera z owych obrazów symbolicznych duch, który w następstwie świat przerodził.

Powtarza się często gołąbek w pokoju z palmą w dziobku; ryba, głębin mieszkanka; jeleń spragniony; paw z wiecznie odradzającem się stukiem pierzem złocistem.

Niekiedy znowu widnieje obraz dobrego pasterza, dźwigającego na barkach owieczkę zbłąkaną; czasem szata długa okrywa uroczystą jego postać; niekiedy suknia pasterska podkasana za kolana odziewa młodzieńca niebiańskiego; często dwa drzewka kwitną obok niego z obu boków.

Rzeźb pozostało niewiele z owej pierwszej epoki chrześciaństwa, gdyż rzeźba jako gałąź sztuki najmniej duchowa, a więcej materyalna, odstręczała chrześcian pragnących się od ziemi oderwać.

Zresztą pierwsi chrześcianie, nawróceni żydzi, tudzież nawróceni poganie czuli wstręt do rzeźby, żywo im przypominającej bożków pogańskich; zamiast tedy posągów, artyści chrześcianie kowali głównie płaskorzeźby na sarkofagach.

Figury tutaj są wprost zwrócone do widza, każda z nich nadto stanowi jakby całość, zamkniętą samą w sobie.

Zwłaszcza kubikule (cubicula) czyli krypty, służące bądź za kaplice prywatne, bądź za grobowiec św. męczennika, przyozdabiano bogato symbolicznemi malowidłami.

Poczestne wreszcie i najważniejsze w każdym cmentarzu podziemnym miejsce zajmował kościół, również podziemny.

Składał on się stale z dwóch obszernych komór, leżących naprzeciwko siebie po obu stronach korytarza, z którym się łączyły za pośrednictwem obszernych arkad wchodowych. W głębi jednej z tych komór był ołtarz, grób—ołtarz, (arcosolium).

W jednej komorze zgromadzali się mężczyźni pod dozorem furtyanów, w drugiej niewiasty pod przewodnictwem Dyakonisek.

Osobną komorę połączoną wielkim lejkim z kościołem, by ułatwić słuchanie słowa Bożego, przeznaczono dla katechumenów, jeszcze niedopuszczanych do Chrztu św. i pokutników.

Na środku chóru stał tron biskupi; po obu stronach ławki dla księży, z kamienia, jak i tron, wykute; mensa między tronem a ludem.

Niekiedy się zdarzało, że siepacze pogańscy zdołali zaskoczyć wiernych w katakumbach, w takim kościele właśnie, gdy się zebrali na modlitwy.

I wówczas cała rzesza pobożnych, jak to się stało u grobów św. Chryzanta i Daryi, ginęła pogrzebana żywcem, ale z pieśnią, tudzież modlitwą na ustach aż do ostatniego tchnienia.

Jeszcze dzisiaj pielgrzym bogobojny może oglądać przez okienko miejsce uświęcone, gdzie podczas czynionych do ofiary świętej przygotowań przez luminarium czyli otwór dla powietrza, poganie ziemią i kamieniami zasypali zgromadzenie wiernych w Chrystusie.

W.



Tren

na pożegnanie uciech zapustnych.

(Ze starej kroniki.)

Słusznie, o muzo! srogi lament wszczy-
[nasz:
Iużci pogrzebion zacny ten luminarz!
Znikł, iak komięga płynąca do Gdańska,
Ten, co karnawał zwie się italiańska.
Sześć nas niedziel trefnie bawił,
Teraz zasie żal ostawił
I haniebną zgryzotę.

Zawarto gdzieści na poszostne rygle
Y krotofile, y ucieszne figle,
Te, co się ongi kręciły, jak cygi
Precz lamentuią gębą y na migi,
A młokosy nieboraczki,
Iak obite małe żaczki,
Powzdychuią rzewliwie.

Inkursye czynią srogie utrapienia,
Żywota słodkość w piołun się zamienia:
Kochałeś Krzysię — nie zerkay gdzie [Krzysia!
Pijałeś wino — pijże wodę dzisia!
Delektuy się trunkiem onym,
Przegryzaiąc śledziem słonym,
Iakby iaki poganin.

Dobrze tym ieszcze y zgoła weselej,
Którzy w zapuściech żonki swe poięli,
Gdy Amor wdzięczney opieki użycza,
Dni im miiaią, jakby trzasnąć z bicza,
Ale gorsze tym, co zasie
Nie zdążyli w godnym czasie
Białogłowie ślubować!

O, człecze chudy, y ty, człecze tłusty,
Łez załośliwych otwórzcie upusty
I zawołaycie w melankoliey srogiey:
„Przecz-żeś tak rychło uszedł nam za [progi?
Przecz podwiki nam zasmucasz
I płeć męską w smętku rzucasz,
Karnawale — niecnoto?!...

an.



Popielec
13 lutego 1241 roku!..

Czyżeśmy to mało przeboleli?

Co kartkę z historyi naszej obrócimy — to wychyli się ku nam jakieś krwawe widmo walk z wrogami. Co nachylimy ucho ku słuchaniu wspomnień czerpanych z lat dawnych, to doleci nas jakoby jęk bolu i grom walk srogich.

Albośmy to mało przewalczyli?..

Oto popatrzmy w gawędy dziejowe..

Jakaż data?..

Na Sandomierz sunie czerń straszna, okropna, dzika, czerń tatarska rwąca się ku nam, jak owa rzeka, która z brzegów wystąpi, a pola chce zalać.

Idą, idą Tatarzy..

Palą się już lasy — płoną wsie ubogie — w popiół obracają się miasta.

W Sandomierzu na zamku młody król Bolesław słucha z trwogą o zbliżającej się burzy, a królowa w modlitwie szuka pociechy.

Młode to jeszcze państwo.. On ma lat 20, a pani, cudna królowa Kinga, 17 rok zaczęła. Dwa lata już po ich weselu, a żyją jak brat z siostrą, bo to i nieśmiałe i ciche, a modłom oddane..

Matka króla, Grzymisława — czuwa nad wieściami, które do zamku dochodzą, i wreszcie poznaje, iż tu niebezpiecznie zostawać.

— Synu mój! rzeknie do króla — namby do Krakowa. Zawsze tam bezpieczniej i pewniej, dzicz się wali, przyjdą tu — gdzież się ukryjecie?..

— Już mi to wojewoda radził — jużem myślał.. trzeba jechać.

I pojechało młode królestwo do Krakowa, wraz z matką Grzymisławą, a w parę dni potem — płonął Sandomierz straszną łuną..

Tatarzy wpadli w sam popielec — miasto zdobyli, spalili, zniszczyli, bez skry litości..

Wtedy to i wyrznęli wszystkich zakonników Cystersów, razem z ogromną liczbą niewiast, dzieci, szlachty i ludu tam zgromadzonego..

Sandomierz już nigdy nie wrócił do dawnej świetności, a Królestwo mieszkali odtąd w Krakowie.

Smutny popielec roku 1241, — ale gdybyśmy mogli zebrać daty wszystkich lat popielca — kto wie — ile by się znalazło bez łuny pożaru, bez jęku mordowanych, bez krwi przelewu!.

Albożeśmy to nie przecierpieli?

Jadwiga z Z. S.



Popielec poznański.

Dla dzisiejszego Poznańczyka Popielec nie jest dniem nadzwyczajnym. Odznacza się on dla niego głównie i przedewszystkiem tem, że powoduje: 1) zniknięcie z okien cukiernianych kart z napisem: „Pączki,“ 2) pojawienie się w ogłoszeniach gazet „znanego z dobroci stokfisza w handlu X. przy ulicy Y.“

Stary Poznańczyk zapatrywał się na Popielec o wiele poważniej.

Przedewszystkiem uważał on za rzecz konieczną uświęcać jego nadejście — „podkurkiem.“

Co to był podkurek?

„Po wieczerzy mięsnej w ostatni wtorek, około godziny dwunastej północnej, podawano mleko, jajka i śledzie, przygrywając niejako temi potrawami następującemu postowi i niby po stopniach, od mięsa przez nabiał, do niego przystępując. Ta maślana kolacya zwała się — podkurek.“

Oto wyjaśnienie, podane przez Kitowicza:

Poznańczyk dawny, obywatel „Antiquae Civitatis Posnaniensis,“ zawarłszy sojusz ze śledziem w środę popielcową, którą nazywał „wstępną środą,“ nie zrywał go wcześniej, aż dopiero w wielką sobotę, o północy. Co robili przez ten czas rzeźnicy, niewiadomo; podobno jednak każdy z nich, bez uciekania się do pomocy Marienbadu, pozbywał się wówczas nadmiaru własnego mięsa, pozyskanego w „mięsopuście.“

Obywatel owoczesny nic nie robił przez pół. Kiedy był czas na hulankę, to hulał tak, że orzeł na starym ratuszu wykręcał się w kółko z uciechy; a gdy przyszła pora na upamiętanie, to głowę posypywał popiołem, bił się w piersi, aż jęczało i, wznosząc oczy ku szczytom ratuszowym, na cały głos ryczał:

Płaczcie syreny! płaczcie delfinowie!
Płaczcie, rekiny i wielorybowie!...

W Popielec nie poprzestawano na szczypcie kościelnego popiołu, który, wedle powszechnego mniemania, pochodził z zetlałych kości nieboszczyków. Obsypywano się nadto wzajemnie popiołem zwyczajnym od stóp do głowy, rzucając napełnione nim garnki pod stopy przechodniów, z krzykiem:

— Popielec, mości panie! Popielec, mościa panno!

Był także między innemi w użyciu „korowód niedźwiedzi.“

Uczeń z warsztatu miechowniczego na Zagórzu, czeladnik od płatnerza z ulicy Szerokiej, towarzysz z cechu pasamoników z Świętomarcińskiej i t. d. utworzywszy *collegium,* przebierali jednego z pomiędzy siebie za niedźwiedzia i szli z nim od domu do domu, „różnych figlów z nim dokazując.“

Ta igraszka, choć nie bardzo licująca z nastrojem dnia postnego, dobrze opłacała się aktorom. Zaopatrzeni w sakwy, zbierali obfitość prowiantu, którego nie szczędziły im rozbawione krotochwilą gospodynie.

—ski.



Prośba.

Boże za łask Twoich zdroje,
Jaką Ci złożę podziękę?
Serce Tobie niosę moje,
W korną przelane piosenkę.

Ty je ocenisz; dla Ciebie
Odkryte tajniki ducha!
Osądź mnie! przytul do siebie,
I mojej prośby wysłuchaj!

Ojcze! wśród walk tego świata,
Gdzie żar nam kładną na ranie,
Daj mi dla bliźniego brata,
Współczucie i pobłażanie.

Gdy przez ciernie, ścieżki kręte
Dążąc ludzkość się mozoli,
Niech mi Twoje ramię święte,
Da moc słodzenia niedoli.

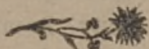
Niech wola Twoja spełniona,
Niech będą spełnione cele;
Niechaj wśród bratniego grona
Widzę uśmiech i wesele!

A w chwilach, gdy jad zdradliwy
Pycha w sercu nam rozplenia
Daj mi Ojcze dobrotliwy
Czystość myśli i sumienia.

Niech moją piosnkę ubogą
Tchnienie Twej łaski bogaci;
Niech zawsze serdeczną drogą
Niosę pożytek mej braci.

Ojcze! ostatnie błaganie!
I ja mam krwawiące blizny!
Łaski! łaski! Ojcze! Panie!
Łaski dla mojej Ojczyzny.

M. Rodoć.



Nowe poezye.

(Do illustracyi.)

„Młoda Polska“ żyje, działa, rozwija się...

Frazes dziennikarski przyzwyczaił szeroką publiczność do wtłaczania młodej naszej poezyi, całej młodej sztuki w szablon szkolarski, na którym świeci etykieta sanitarna: dekadentyzm, a nad nią trupia główka.

Rzeczywistość tymczasem okazuje, że młode pokolenie — to... pokolenie całe, dla którego jeśli koniecznie szukać wspólnego mianownika, znajdziemy go jedynie w zasadzie indywidualizmu. Zasada zaś ta ma naturalne swe źródła w górującym obecnie powszechnie subjektywizmie. Pozytywizm ze swoją dążnością niwelatorską, swą logiką zimną, racyonalistyczną, swemi powszechnie obowiązującemi prawami, swą treścią naturalistyczną, odbijającą prawie wyłącznie świat zewnętrzny, w konsekwencyi uszczuplał życie duchowe poety, czynił je więcej objektywnem i na zewnątrz wylanem. Młode pokolenie idzie w głąb swego ja — żyje życiem indywidualnem, świat zewnętrzny stapia z najistotniejszymi sokami własnej duszy — i w ten sposób powstaje poezya bogatsza, bujniejsza, szczersza, niż dawniej.

Poezya nasza na tej nowej drodze znajduje się dopiero niedawno. Nic też dziwnego, że daleko jej do harmonii, do syntezy. Jednakowoż nie ulega wątpliwości, że tylko na tej drodze — zlania się doskonałego dwóch światów — synteza jest możliwa, i że do niej pokolenie dojdzie...

A tymczasem — bez tej syntezy tęskno duszy i burzliwie i obco... Każdy czuje — jak śpiewa Tetmajer*) — że

Zło dopełnia już miary... Trwogi zimne dreszcze
Przenikają do szpiku ludzkość całą...
Pod ziemią słychać grzmoty wulkanów złowieszcze,
Ziemia drży, niebo chmur się zakrywa nawałą...

Niepokój to święty, niepokój czasu całego, którego bóle, zwątpienia, rozpacze, nawet bluźnierstwa są cenniejsze, wyższe dla postępu ludzkości mają znaczenie, niż syty, zadowolony z siebie spokój opasłego filistra, owego typowego pozytywisty w rodzaju Maxa Nordaua, dla którego nie istnieją żadne zagadki, żadne otchłanie, żadne tajemnice. Tetmajer ów niepokój czasu wchłonął z całą intenzywnością, do jakiej namiętna jego natura jest zdolna, a poezye jego społeczne — zebrane właśnie w „Hasłach“ — przypominają wrzenie wulkanu. Rozważając w dzień noworoczny złe panujące, które „dopełnia już miary“, wybucha okrzykiem:

Pędź rumaku zniszczenia z grzmiącemi podkowy!
Dniu pierwszy! obyś ty był zwiastunem przewrotu...

Podobny niepokój targa poetą, gdy rozważa nastrój i siły własnego społeczeństwa. W dzień sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza robi on obrachunek sumienia generacyi swojej i woła z rozpaczą:

Nie patrz prochu — zstąp w ciemne sklepienie,
Bo w twoim wzroku palącym zabłyśnie
Orła, co gardzi płazem, srogi gniew! —
Nie patrz, bo zmiażdży nas twoje spojrzenie,
Bo ono w twarz nam zapytanie ciśnie:
„Czy w żyłach waszych jeszcze tętni krew?!“

I tak przemawia poeta gromowemi słowy, w których czuć całą młodość z jej bezmiarem tęsknot, wzlotów i pragnień. Młode są bowiem zebrane w tym tomie utwory Tetmajera, młode w najpiękniejszem — z „Ody“ — znaczeniu słowa, a nazewnątrz zaznaczają się one datami przeszło dziesięciolecia: 1888—1901. W ciągu tego czasu duch poety przebył ogromną skalę ewolucyi: od pierwotnego, studenckiego entuzyazmu, jaki bije z Wiersza ku uczczeniu pamięci Adama, do znanych z ostatnich czasów Hymnów do Nirwany — zasadniczy jego motyw pozostał niezmieniony. Jest nim niezmożone pragnienie szczęścia — szczęścia siły, potęgi, zbawienia... Tylko w zestawieniu z tą olbrzymią mocą pragnień poety można jako reakcyę, rozumieć Hymny do Nirwany i narkotyzującej rozkoszy, a także ostatnią próbę wskrzeszenia dramatu bohaterskiego w Zawiszy. I jakkolwiek nuta jego społeczna zamało jest indywidualną i przynosi melodye dobrze już znane, zawsze jednak działa orzeźwiająco, gdy woła:

...Jest więc orla kraina — rozwińmy tylko skrzydła!

. . . .

Dość długo z naszych harf szły pieśni i piosenki,
Zerwijmy z nich te struny o smętnych tonach precz!
Precz melodyjne brzmienia! Precz kołysane dźwięki!
Niech leci z ust nam głos, jak płomień i jak miecz!

Jako odrębna indywidualność poetycka zaznaczył się w literaturze od pierwszego występu Jerzy Żuławski. Możemy obserwować jej rysy charakterystyczne od pierwszych tonów w wydanym obecnie zbiorze*), zawierającym „wybór“ z tomików „Na strunach duszy i Intermezzo“; szkoda, że wydaniem obecnem nie zostały też objęte anonimowe swego czasu wydane Stance o pieśni.

Żuławski jest antytezą Tetmajera. Gdy u ostatniego uderza przedewszystkiem mimozowata wrażliwość, dar bezpośredniego odczuwania, to Żuławski jest czystej wody „mózgowcem“. Każdy poryw serca przechodzi u niego do retorty mózgowej i przemienia się w refleksyę. Zna autor tę swoją siłę i nawet w apostrofie do dziewczyny woła:

Nie mnie kochaj, dziewczyno, lecz myśl kochaj we mnie!

. . . .

Myśli moje ty kochaj! Nie zgryzie ich burza!
Chociaż starcem już będę, to myśl moja dzielna
Stanie twojej miłości za Anioła Stróża...

A myśl to poważna, często głęboka, choć w obecnym wyborze, jako pochodzącym z lat najwcześniejszej twórczości — nie wolna jeszcze tu i owdzie od pospolitości i naśladownictwa. Lubo szybuje nad najwyższymi szczytami ludzkości — rzadko spotyka tam odblaski słoneczne; los to wszystkich ofiar myśli, która zbyt jest krytyczna, by mogła darzyć szczęściem niezmąconem. Buntuje się też poeta przeciw tej duszy swojej duszy, miota się często i bluźni najwierniejszej swojej kochance:

Ha myśliciele! Wy walić umiecie!
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były,
Dziś się w bezkształtne rozpadają bryły!
Jutro wieść o nich już zaginie w świecie...

Rozpaczliwych takich reakcyi przeciw najgłębszej własnej istocie w Żuławskim więcej, a przecie... a przecie:

Ciemno było koło mnie; w jakąś toń bezdenną
Zapadałem, — a w górze ponad toni brzegiem
Stała mara będąca błękitem i śniegiem,
Z krzyżem w ręku i z twarzą anielską a senną.

. . . .

Coraz ciemniej i zimniej i głucho koło mnie,
Pusto, nicość a rozpacz! Wtem drgnąłem ogromnie (!)
Ktoś mię zbawia! Ktoś kładzie w głos zwątpienia protest!

Z jednej skały wykuty, olbrzymi i święty

*) Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Hasła. Kraków, nakł. księgarni D. E. Friedleina.

*) Jerzy Żuławski: Poezye. Wydanie nowe, wybrane i poprawne, z portretem autora rysunku St. Wyśpiańskiego. Kraków, nakładem księg. D. E. Friedleina.

Mędrzec kończy pieśń jakąś jak pacierz za-
[częty:
— *Sine Deo nil esse nec concipi potest!*

To wizya Spinozy.

W niego wpatrzony, Żuławski nie zawsze wyrazami czystej modli się sztuki — jak bodaj ostatni wiersz wskazuje — w ogólności jednak jest u nas jednym z wybitniejszych a rzadkich przedstawicieli tej odrębnej poezyi, którą w istocie swojej jest metafizyka.

Wobec czysto refleksyjnego usposobienia utworów Żuławskiego, uderzają poezye Lucyana Rydla*), przedewszystkiem wirtuozostwem formy. „W każdym ślizgałem się rymie“, może o sobie powiedzieć poeta, a żaden wiersz mu nie „stwardniał“ — musimy dodać od siebie. Zbiór obecny obejmuje tom poezyi, przed dwoma laty wydany w Warszawie, oraz „Część II“, nową, pisaną do narzeczonej, obecnie „mojej żonie“ poświęconą. Indywidualność poety charakteryzuje się we wszystkich tych utworach głównie bogactwem i poprawnością formy. Poeta maluje pejzaże stron rodzimych i „Mitologie“ czystym duchem greckim, oraz pewną tęsknotą nowoczesną owiane; pisze tekst do preludyów Chopina i płacze w dzień zaduszny; kąpie się w słońcu idylli wiejskiej i wspaniałemi tercynami opiewa apostołów „wieczór paschy“ — a wszędzie towarzyszy mu ten sam kunszt wytworny, ten sam wiersz gładki, dźwięczny, wpatrzony w piętno zewnętrzne, niezmącony spokój. Aż nas ten nadmiar pięknostek zniecierpliwił... niecierpliwi i mamy ochotę zawołać: za dużo kwiatów! przemów raz „poprostu a z krzykiem“, wstrząśnij, wzburz, okaż serce i chwyć za serce...

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa zgoła,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

wierszyk śliczny, ale... wierszyk.

Wspaniałe są w swej plastyce sonety mitologiczne, przepiękną „Bajka o Kasi i Królewiczu“, piękne są wszystkie bez wyjątku drukowane tu utwory, świadczą o wysokiej kulturze umysłowej, o smaku estetycznym, brak im tylko — żywiołowego, głębszego uczucia.

*) Lucyan Rydel. Poezye. Z rysunkami St. Wyspiańskiego. Kraków, nakładem księg. D. E. Friedleina.

To samo da się powiedzieć o wieńcu poezyi, uplecionym dla narzeczonej. Uzbierał dla niego poeta kłosy i kwiaty z niw i łąk bronowickich, ale jeszcze więcej z książek, z literatury. Obok wierszy szczerych i prostych, jak model poety, mamy mnóstwo — czysto salonowych, przypominających sztuczne sielanki XVIII wieku. Uderza Rydel w ton ludowy, prosto na wsi podsłuchany, a równocześnie pieści się ze sobą i swem szczęściem, ciągle je analizuje, akcentuje, suggeruje, podchwytuje, stylizuje.

Jeden żąda od swej żony
Herbowej korony;
Drugi sobie żony szuka,
Gdzie w głowie nauka;
Inny musi wziąć przy żonie
Pieniądze w skarbonie.

Ty nie gorsza od szlachcianek,
Masz herb — świeży wianek,
Bez nauki wiesz, co cnota
I serca prostota;
Umiesz kochać wiernie, szczerze
I mówić pacierze.

Z tobą ja w posagu biorę
Pracę i pokorę;
Wniesiesz mi królewskie wiano;
Duszę nieskalaną,
Twój majątek — skarb dobroci
Życie mi ozłoci.

Daj Boże!

Podkreślić jeszcze należy śliczne wydanie książki przez księgarnię Friedleina. Rysunki — kwiaty Wyspiańskiego — to ozdoba królewska...

I jeszcze jeden tam wiersz — jeszcze jeden młody, najmłodszy Leopold Staff*). Niepodobny zgoła do tych, którzy dotychczas przed nami przedefilowali, ani wpatrzony wyłącznie w swe refleksye, ani wirtuoz formy, ani miotający się w pogoni za widmem szczęścia nerwowiec. Otwieramy pierwszą stronicę:

KOWAL.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocen-
[nych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z mych otchłani wyrzucam bez-
[dennych
I ciskam ją na twarde stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo mi wykonać trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć
[muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne!

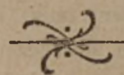
Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieod-
[porne —
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

Rzeźwość, moc, wielka koncepcya życia i wielkie zadania artystyczne biją z utworów Staffa, mącą się chwilami fermentacyą młodej duszy, opierają się czasem zanadto o Tetmajera, aby ostatecznie wyzwolone, tryumfalne, podążać naprzód, wzwyż... Oby — *ad astra!*

Zoil.

*) Leopold Staff: „Sny o potędze“. Warszawa, Gebethner i Wolf.



Jutrzenka.

(Gawęda z sobą.)

Widzę, mospanie, jutrznię różową,
I kiwam głową!
Porwał śmiech pusty, komedya szczera
Serce rozdziera!
Jam stary wróbel, i nie dziś przecie
Żyję na świecie;
I wiele, wiele w życiu mem całem
Jutrzni widziałem.

Na jasnem niebie, na ciemnej ziemi,
Z barwy złotemi,
Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
Jutrznia się wdzięczy!
I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
Chcąc zdurzyć człeka.
Ej! to zalotna tylko niewiasta,
Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili,
Biedę przebyli,
„Wkrótce nie będzie, zobaczysz dziadu,
Nędzy ni śladu!“
Znów obietnice, znowu nadzieje,
Serce się śmieje,
Ale ich czekać kolej tak długa...
Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa,
W ziemię się chowa.
Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,
Wierz panie bracie!
Dla zbolałego serca osłoda
Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!
Wierzą niektórzy!
Chociaż nad górą ściele się nizko
Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
(Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,
Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
„Mieć będziem cisze.“
Błogosławiony kto dziś ma wiarę
We wróżby stare!
Co to!... nietylko bredzą bezkarnie
Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
Androny pisze.

Ej doloż moja! przyszło się dosyć
W życiu przenosić!
Słońca mi trzeba, i powiem szczerze,
Gwiazdom nie wierzę...

Niech sobie widzą niewinne dusze
Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
Ja go nie gonię!
W, Syrokomla.



„Hej ramię do ramienia!"

(Do illustr cyi)

Formuj się — w lewo front — w pochód! —

Kapela na czele zaczyna grać doskonałego marsza, a za nią długi wąż chłopców w mundurkach podąża za rogatki miejskie, zaczerpnąć pełną piersią powietrza i nabrać sił do jutrzejszej pracy.

Ćwiczenie wojskowe młodzieży szkolnej w parku dra Jordana w Krakowie — tak się nazywa ta, *sit venia verbo* — instytucya o głębokiej treści. Pochód uczniów z kapelą, to strona zewnętrzna — zbadajmy treść, sięgnijmy do źródeł.

Idąc za przykładem innych państw, poczęły austryackie władze centralne zwracać baczną uwagę na fizyczny rozwój młodzieży i już w latach ośmdziesiątych budowano na dziedzińcach szkolnych przyrządy gimnastyczne, na których młodzież wyprostowywała podczas pauz stężałe w ławach członki. Pauzy jednak — to zbyt krótki, na minuty obliczony okres czasu, więc ministeryum oświaty, postępując dalej, rozesłało okólnik, wzywający profesorów do stawiania wniosków w tym kierunku. Były narady, konferencye, wnioski — ostatecznie przeszedł w Krakowie wniosek prof. Czesława Pieniążka, który brzmiał: zostawcie wybór zabawy samej młodzieży. Zostawiono i oczekiwano wyniku. Po niedługim upływie czasu pokazało się, że uczniom najlepiej podobała się mustra. Wybierali chwilowych poruczników i zaczęli na ciasnych dziedziedzińcach szkolnych odbywać pochody i zwroty.



Prof. Czesław Pieniążek.

Za ciasno im jednak było. Panie profesorze — zwrócił się jeden z uczniów do prof. Pieniążka — ciasno nam tu, czy moglibyśmy wyjść za miasto? Zgodził się na to profesor i pewnego pięknego dnia wymaszerował z chłopcami za mury miejskie.

Początek więc był dany — a władze szkólne krajowe i miejscowe udzielając opieki, czuwały bacznie nad ćwiczeniami.

Zaprowadzone za JE. ministra Madejskiego i wiceprez. Rady szkol. kraj. Bobrzyńskiego, mundurki nie mało się przyczyniły do rozwoju tej idei.

Długo leżała ta sprawa umundurowania młodzieży w rozmaitych biurach na rozmaitych biurkach, aż wreszcie się ucieleśniła.

Mieszkańcy Krakowa przypomną sobie zapewne, że kilkanaście lat temu błyszczały na głowach uczniów granatowe krakuski, obszyte białym barankiem. Była to myśl prof. Pieniążka. Czapki jednak niedługo istniały i rzecz zginęła w pomroce dziejowej, ale myśl raz rzucona nie zginęła i dziś mamy mundurki — mimo całych lawin zarzutów. Wyrabianie w młodzieży serwilizmu zarzucano — niesłusznie władzy szkolnej. Ów *esprit de corps,* który wyrabiają w młodzieży angielskiej kluby, a w niemieckiej knajpa, ów *esprit de corps* — w Galicyi wyrabia się mundurkiem. Dawniejsze różnice w ubraniu, wyradzające zawiść i nienawiść — dziś znacznie osłabły, bo mundur, choć wytarty na łokciach i świecący na plecach, zawsze jest mundurem jednakim dla wszystkich. Ubranie wytarte upokarza czasem — wytarty mundur nigdy. Należy także pamiętać, że ze względu na tę możność „wytarcia" znacznie tańszym jest mundurek od ubrania cywilnego. Przedewszystkiem jednak wyrabia to zewnętrzne zrównanie — koleżeńskość.



Orkiestra gimnazyum św. Jacka w Krakowie. „Marsz Dąbrowskiego."

Oto razu pewnego użyczyła wojskowość starych szanców na Krzemionkach na ćwiczenia dla młodzieży. Przy zdobywaniu (naturalnie bez bójki), zabrał oddział broniący okopów czapkę jednego z armii atakującej i uniósł ją w trumfie. Po ćwiczeniach, gdy chwilowy wódz wezwał chłopców do wnoszenia zażaleń, zdarzyło się, że w jednym z oddziałów stał chłopczyk z V klasy, mały garbaty i płakał.

— Dlaczego płaczesz? — pyta go stojący obok uczeń VI klasy, wysoki wzrostem, bogaty M. K.

— Czapkę mi zabrali przy zdobywaniu szańca.

— To idź po nią, zgłoś się u wodza.

— Kiedy się wstydzę wyjść na środek, bom mały i garbaty.

Nie mówiąc nic, zdejmuje M. K. czapkę własną, wkłada ją na głowę młodszego kolegi i zgłasza przed wodzem brak własnej czapki...

Ten *esprit de corps* został wywołany poczuciem wspólności, przez wspólny mundur.

Po zaprowadzeniu mundurków, zorganizował profesor Kanenberg z dyrektorem panem

T. Skibą w gimnazyum świętego Jacka kapelę studencką. Sprawiono instrumenty, w znaczniejszej części drogą składek grona profesorów, w części zaś płynęły na to fundusze z darów zamożniejszych rodziców uczniów i ze składek studentów. Rząd przytem zajął zupełnie neutralne stanowisko — nie dał nic. Lekcyi udziela podoficer od muzyki wojskowej, a chłopcy pod jego kierunkiem grają wprost doskonale, a zajęci muzyką, nie marnują po kawiarniach sił i zdrowia, w godzinach wolnych od nauki. Za przykładem gimnazyum św. Jacka poszły i inne szkoły średnie w Krakowie, tak, że obecnie już trzy gimnazya mają swą muzykę, a szkoła realna prócz istniejącej orkiestry smyczkowej, także kapelę własną organizuje.

I warto widzieć, z jaką radością i ochotą młodzież do muzyki tej się garnie i jak ochoczo przy dźwiękach jej maszeruje na wojskowe ćwiczenia za miasto.

Ćwiczenia wojskowe — nazwa ta padła jak granat — młodzież organizuje rewolucyę, gwałt — zaniepokoiła się nawet dyplomacya.

Bez przyczyny.

Oto Henio X. nie słucha przy lekcyi swego kolegi korepetytora. Na drugi dzień wybierają koledzy Henia kapralem — korepetytor zaś pozostał nadal szeregowcem.

Podczas ćwiczeń komenderował Henio korepetytorem, wykręcał go na wszystkie boki, prostował, pierś mu naprzód wystawiać kazał — aż się pocił biedny korepetytor. Nadszedł profesor, a widząc co się dzieje, struchlał i w myśli szukał już innego nauczyciela dla Henia.

Jakże się jednak zdziwił, gdy przyszedłszy do domu, zastał chłopców przy lekcyi, podczas której Henio pokornie słuchał — korepetytor zaś wykładał.

— Heniu, cóż się to stało — pyta profesor — siedzisz przy lekcyi spokojnie?

— On mnie słucha na mustrze, panie profesorze, bom jego przełożonym, tu role się zmieniają, więc ja mu winien jestem posłuszeństwo...

Albo jeszcze jeden przykład.

Podczas pochodu za miastem, zapalił jeden z uczniów z IV klasy gimn. papierosa. Zobaczył to profesor szkoly realnej, zbliżył się i zgromił go.

— Przecież to za miastem, panie profesorze...

— Wszystko jedno... jesteś w szeregu... palić nie wolno.

Zamilkł na takie *dictum* uczeń, a po chwili podczas przerwy w ćwiczeniu zbliżył się do profesora i prosił go, żeby o tem nie wspominał...

— Profesorowi jego?

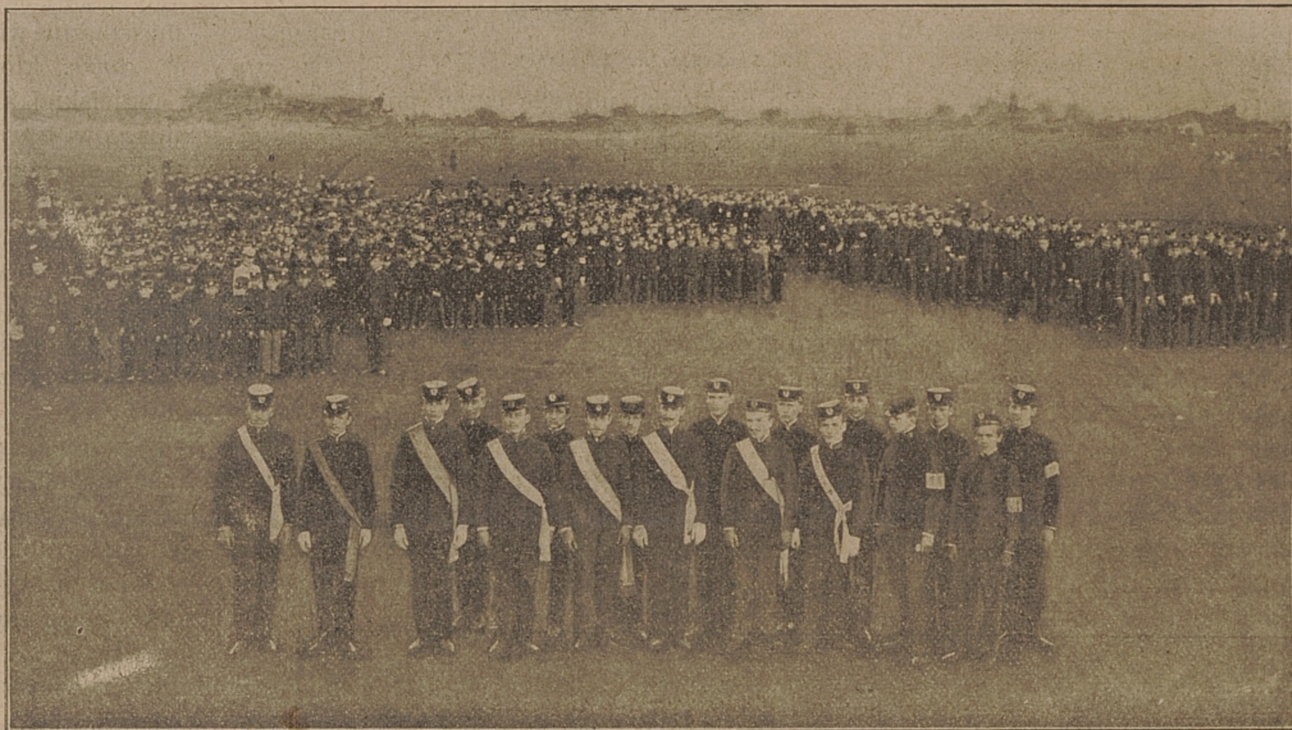
— ...Broń Boże... — jego porucznikowi — nie temu, którego z natury rzeczy się obawia, lecz chłopcu, którego sam wybrał swym przełożonym.

Cóż znaczą te przykłady z życia wzięte? O, one znaczą dużo, ogromnie dużo — one znaczą, że w młodzieży naszej wyrabia się karność i solidarność, te dźwignie w zdrowem społeczeństwie — karność, której brak nam Polakom, tak boleśnie odczuć się dawał. Tyś mój przełożony z w-y-b-o-r-u, a więc dlatego właśnie cię słucham. Gdyby ten jeden tylko objaw istniał — już dla niego samego, należałoby instytucyę tę popierać.

A w końcu, gdy się rozwinie ów długi wąż uczniów w pochodzie, owe zastępy chłopców, o rozradowanych twarzach i wyprężonych piersiach, wówczas myśl odbiega w przeszłość, ku czasom szkoły w Krzemieńcu, ku owym wycieczkom, majówkom, a wesołym zabawom, tylekroć opisywanym i takie się to wydaje nasze, kochane, że aż się dusza raduje na widok tych przyszłych dzielnych obywateli kraju i wołać się chce: hej ramię do ramienia — wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko!

Dr. K. S,





Młodzież gimnazyów i Szkoły Realnej Krakowskiej na Błoniach z pułkownikami swymi na czele.

Gabryela Zapolska.

(Do illustracyi).

Dziennikarska praca jest jako kierat; gdy raz kogo pochwyci w swe potężne tryby, nie wypuści go z nich tak rychło. Ciężka, codzienna, gorączkowa robota przy biurku dziennikarskiem — ileż to ona talentów literackich wyczerpała już i skrzywiła! — Znakomita autorka Gabryela Zapolska, która od dłuższego czasu stała w przednim szeregu pracowitej drużyny dziennikarskiej we Lwowie, ustąpiła jednak z posterunku zajmowanego w redakcyi „Słowa Polskiego“, aby poślubić znanego art. malarza St. Janowskiego.

Hymen okazał się tedy silniejszym od Molocha, któremu imię gazeta. Pp. Janowscy przeniesli się w Nowo sądeckie na dłuższy pobyt; on, aby wykonać większe prace około restauracyi kościoła, ona, aby oddać się w spokoju twórczości literackiej. Niewątpliwie wyjdzie to na korzyść talentowi autorki „Tamtego“, belletrystyka polska wzbogaci się szeregiem nowych utworów, zawsze interesujących i silnych w kolorycie.

I. P.

Z teatru.

Uczczenie Małeckiego — „Grochowy Wieniec“ — komedya Małeckiego w 4 aktach.

Dyrekcya naszego teatru już niejednokrotnie starała się dać wyraz czci i uznania dla wybitnych mężów, już zmarłych lub też jeszcze wśród nas żyjących, spółczesnych. Poznań jest za to szczerze wdzięczny dyrekcyi. Nie tak dawno temu było przedstawienie poświęcone pamięci nieszczęśliwie zeszłego ze świata Bałuckiego, sobotnie przedstawienie przypominało nam, że nasz ziomek, na wielkopolskiej ziemi urodzony znakomity uczony, Antoni Małecki, kilkanaście dni temu ukończył 80 rok życia. W tej intencyi wystawiła dyrekcya teatru na scenie naszej komedyę Małeckiego „Grochowy wieniec.“

Komedya ta była kilkakrotnie już graną na scenie naszej, o treści jej zatem rozpisywać się nie będę. Powiem tylko, że nie straci ona nigdy swego uroku i to nie z przyczyny nadzwyczajnej poprawności układu pod względem techniki ocenionej, lecz ponieważ ma tyle typów szczerze polskich, żywcem wziętych z dawnej rzeczypospolitej polskiej, przypominających nam naszą rycerskość, ale też i nasze błędy. Komedya Małeckiego jest pięknym obrazem historycznym, a przytem także obrazem rodzajowym. Postacie w tej komedyi historyczne, a tło, na którem są wprawną ręką narysowane typy, to dom szlachecki, życie dworu szlacheckiego, życie powiatu, życie tego stanu, który był podporą wyłączną rzeczypospolitej, tego stanu, z którego zdrowiem i siłą rzeczpospolita Polska stała i z którego upadkiem i słabością uległa zawistnym sąsiadom. Największym błędem ustroju rzeczypospolitej było właśnie, że była wyłącznie szlachecką, że inne stany były wykluczone od spółdziałania, że martwe żyły w cieniach. Był to niewątpliwie wielki błąd polityczny, i wszyscy go dziś uznajemy, nie wyklucza to jednak, aby nam tak zwane kontuszowe komedye nie przypadały do serca. Ponieważ właśnie ten jeden stan prawie wyłącznie przedstawiał pulsujące życie narodu, jest dobrze napisana komedya kontuszowa wiernym obrazem tego życia z dawnych, a tak drogich nam lat Polski wolnej, niepodległej.

Tyle dla scharakteryzowania komedyi. Należy się też choć krótka wzmianka o życiu i działalności autora komedyi. Małecki Antoni urodził się w r. 1821 we wsi w Obiezierzu pod Poznaniem, był profesorem uniwersytetu w Innsbrucku, Krakowie i Lwowie. Jako profesor języka i literatury polskiej we Lwowie, zyskał sobie niebawem nietylko u uczniów, ale w całem społeczeństwie wielkie uznanie.

On pierwszy we Lwowie naukę literatury i języka polskiego na uniwersytecie lwowskim podniósł przez wykłady swoje do należącego się jej znaczenia. Jako badacz i znawca języka polskiego, którego gramatykę, używaną od lat wielu w szkołach średnich, napisał, jako badacz naszej dziejowej przeszłości i historyi literatury polskiej, zajmuje Małecki wybitne i poważne stanowisko. Oprócz wyżej wymienionej gramatyki wydał Małecki „Gramatykę historyczno-porównawczą języka polskiego“ — dalej obszerny „Żywot Juljusza Słowackiego,“ listy tego poety do matki i ocenę dzieł jego. Znany też jest Małecki zaszczytnie jako autor dramatyczny. Utworami jego pióra są: „List żelazny i „Grochowy Wieniec.“ Małecki nie jest już czynnym profesorem, lecz zażywa wielkiej powagi w całej Polsce — piastuje on dużo urzędów honorowych i jest wicekuratorem „Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich“.

Treść swej komedyi „Grochowy Wieniec“ zaczerpnął Małecki z „Pamiętników Pana Paska.“

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, opisujące życie jego i przygody od roku 1656 do 1688 są jednym z najpiękniejszych zabytków literatury naszej z wieku 17-tego. Pamiętniki Paska są nietylko dlatego ciekawe, że opisują wyprawę Czarnieckiego na wyspy duńskie, ale że są wiernym obrazem życia i zwyczajów ówczesnej szlachty. Oprócz tego są te pamiętniki niewyczerpaną skarbnicą piękności i jędrności języka polskiego. Kto ich nie zna, niechaj je przeczyta, a sam się o tem przekona. Na pamiętnikach Paska wzorował swój pyszny język, naśladując sposób mówienia w Polsce w siedemnastem stuleciu, nasz niezrównany *Sienkiewicz*. W jego trylogii spotykamy się na każdej nieomal stronnicy z wyrażeniami Paska. Dlatego to język trylogii tak wiernie ilustruje okres historyczny w trylogii opisany.

Pan Pasek bohater „Pamiętników“ i „Grochowego wieńca“ jest prawdziwym prototypem średniej szlachty i rycerstwa. Dosyć o nim powiedzieć, że to Czarnieszyk, który w niezliczonych bitwach i potyczkach zwyciężał pod najznakomitszym rycerzem polskim, Czarnieckim, a raz tylko tył podał, aby mieć miarę jego męztwa i odwagi. W szermierce gracz nielada, obcina jednego dnia dwóch tęgich rębaczów, pienia się, procesuje, duch niespokojny w ciężkich nieraz znajdujący się opałach, przytem zręczny i sprytny, do kielicha zuch, wielki myśliwy, bałamut do kobiet i rolnik zamiłowany — oto wierny jego konterfekt. Pan Pasek opisuje swoje konkury, które doprowa-



Orkiestra gimnazyum św. Jacka w Krakowie.



Gabryela Zapolska (patrz artykuł na str. 160).

ci się podobała ta wdowa?" Odpowiedziałem: „Bardzo mi się jej serce chwyciło." Dość, że pan Pasek niebawem się oświadczył i panią do ślubu poprowadził.

Omylił się jednakże nieco, bo liczył wdowie lat 30, a ona miała 46.

Miał też pan Pasek sł gę Dzięgielewskiego, który grał na skrzypcach i śpiewał ładnie — więc do już narzeczonej kazał tak śpiewać:

Niech komu nadzieja ściele
Różnych fortun na myśl wiele,
Ja już będę tryumfował,
Kiedym szczęśliwie stargował.

Pan Pasek był znany bałamut, więc krewni nie chcieli na żadne zwłoki przystać, lecz żeby zaraz w niedzielę do ślubu stanąć. I tak się też stało. — Oto konkury pana Paska. — Po ślubie zamieszkał pan Pasek w Krakowskiem. Tam rodzina żony krzywem nań patrzała okiem i przymawiała mu nawet pod jego własnym dachem. Pisze pan Pasek: „Po wieczerzy poszedł w taniec Szembek, Żelecki mówi do mnie: „pódźwa mu służyć." Odpowiem „dobrze." Tańczymy tedy, aż skoro już wielkiego poczęli tańcować, a on stojąc na trakcie, począł śpiewać:

Mazurowie nasi, po jaglanej kaszy,
Słone wąsy mają, w piwie je maczają.

I tak ową piosnkę kilka razy powtarza. Mnie też już gniewno się uczyniło (Pasek był rodem Mazur); wezmę owego Żeleckiego na ręce tak, jako dzieci noszę, bo chłopek był mały — rozumieli oni, że ja to czynię z kochania — i idę z nim, a pominając Kordowskiego, śpiewającego tę piosnkę, uderzę go w piersi Żeleckim; padł w znak srogi chłop, jako dąb, dosiągł jakoś ławy głową, a uderzył się w tył, zemdlał. Żelecki też, bom nim o drugiego ze wszystkiej siły uderzył, nie mógł wstać. Potem do szabel. Było ich kilka czeladzi w izbie, bo już drudzy po kątach pijani spali; wyparowałem ich z izby, wróciłem się do Szembeka, przyłożę mu sztych do tłustego brzucha, zawoła: „stój, com winien!" A owi dwaj na ziemi leżą; dopiero mówię: „bodaj was zabito, na coście przyjechali, żebyście mię konfudowali, że ja to widzę że mi przez takiego pijaka cały dzień kurzycie pod nosem, a ja cierpiałem, dłużej też już znieść nie mogę."

dziły go do ślubnego kobierca następnym sposobem: Pan Jędrzej Remiszowski mając za sobą Paskównę, siostrę moją stryjeczną, jako zwyczajnie swój swemu, począł mi radzić rodzoną siostrę swoją, Remiszowską z domu, Stanisława Remiszowskiego córkę i namawiał mię, żeby jechać w Krakowskie, poznać się tylko, a potem dopiero, jeżeli się będzie zdała ta okazya, o dalszych terminach radzić. Miałem to tedy na pamięci, a tymczasem skończyła się lwowska komisya. Namówił mię, żeśmy pojechali w Krakowskie. Pojechał pan Remiszowski do Olszówki pod Wodzisław do siostry swojej, ja zaś do wuja mego, pana Wojciecha Chociwskiego; ztamtąd wziąwszy z sobą wuja i syna jego, umyśliłem sobie: nie damy za to nic, choć tej wdowie się przypatrzymy, wszak mam inszą okazyą gotową, jeżeli się nie będzie zdała, bo panny Śladkowskiej nikt przedemną nie weźmie. (Do Śladkowskiej namawiano pana Paska również.) Przyjechaliśmy tedy do Olszówki w sam dzień Najśw. Panny Maryi, zażywszy nabożeństwa u obrazu cudownego N. M. P. Przyjechaliśmy tedy bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w komendę; aleć uznawszy szczerą inklinacyę i stronę gospodarza, poczęto się przymawiać o muzykę, posłałem dopiero do Wodzisławia, wnet ich przyprowadzono. Dopiero w taniec. Pyta mię wuj: „Cóż



Leopold Staff (Patrz artykuł „Nowe poezye" na str. 157.)

Przytoczyłem tych kilka zdań z pamiętników pana Paska, bo stoją one w ścisłym związku z komedyą i malują dosadnio pana Paska.

„Grochowy Wieniec" przedstawiono u nas bardzo starannie; publiczność, która przybyła licznie do teatru, oklaskiwała szczerze grę naszych artystów.

Widz.



Kazimierz Tetmajer. (Patrz artykuł „Nowe poezye" na str. 157.)



PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy“ przez Laurę Zejdowską.

6)

Część I.

Nieszczęśliwa matka.

(Ciąg dalszy.)

Matis milczał. Przed oczyma jego rozgrywał się cały dramat, ta nieszczęśliwa bez czucia tam w lesie pogrążona w śnie letargicznym, to dziecko zmarłe i on... on sam, który ją kiedyś tak kochał.

— No, cóż mów, jakże, będziesz milczeć? — Spojrzał na piękną twarzyczkę hrabiny, pochyloną nad nim w niepokoju, on ją tak kocha, jeżeli przemówi, straci na zawsze to urocze stworzenie.

Jakież będzie jej życie od tej chwili, co się z nią stanie? Wydając wyrok na nią, ocali tamtę, jeżeli będzie milczeć Klotylda uratowana. A ona nie mogąc się doczekać odpowiedzi, jeszcze raz pytała zaniepokojona:

— I cóż, mów?

— Będę milczeć.

ROZDZIAŁ IX.

ZADANIE DO ROZWIĄZANIA.

Powóz wiozący śledczego sędziego i prokuratora, zatrzymał się przed białym domem. Obydwaj sądownicy wysiedli, a widząc otwartą furtkę, weszli bez przeszkody i stanęli na progu pokoju. Karolina klęczała przy kołysce pogrążona w modlitwie, tak się czuła osamotnioną, tak odepchniętą przez wszystkich, że wejście urzędników nawet nie zwróciło jej uwagi.

Sędzia zmuszony był położyć rękę na jej ramieniu, żeby ją wyrwać z tego zamyślenia. Obejrzała się i z zadziwieniem patrzała na przybyłych. Nie znała ich wcale; podniosła się i zapytała głosem cichym, słodkim:

— Kto panowie jesteście i czego chcecie ode mnie?

Pomimo wszystkiego tego, co przecierpiała, co przeszła, pozostało w niej jeszcze coś z tej promiennej piękności i młodości, którą świeży powiew szczęścia i słońca mógł jej przywrócić w każdej chwili.

Spojrzenie tych oczu głębokich ze śladami łez wylanych zmieszało sądowników, oni jej nigdy nie widzieli; więc to była kobieta, którą mieli badać, ta, na którą padły tak straszne oskarżenia, to ona miała zabić doktora, otruć swoje dziecko? Patrzeli na siebie niepewni, nie śmiąc się do niej odezwać!

Wobec tej śmierci... nie mieli odwagi obwiniać matkę, lecz to wahanie nie trwało długo, czyż oni przed oczyma nie miewali zbyt często kłamstwa, udawania, do jakich się uciekano.

Chcąc odeprzeć od siebie podejrzenia, i że młoda kobieta tak bardzo różniła się od istoty, którą się tu spodziewali zastać, zatem Pan „Barillier“ zapytał się:

— Czy to pani jesteś Karoliną Lamarche?

— Tak.

— A więc to Pijaczka, te słodkie oczy, łez pełne, to kłamstwo... więc to jest kobieta, którą od roku, czy dwóch lat spotykano zataczającą się, błądzącą po drogach i lasach... nie, nie, litość nie może mieć do nich dostępu.

— Jestem sędzią śledczym z Tours, a to pan prokurator.

Popatrzała na nich przez czas dłuższy, jakby chciała do głębi przeniknąć ich dusze, bo się jej zdawało, że przed chwilą na twarzach tych ludzi wyczytała litość. Czy to byli przyjaciele, czy wrogowie? Nie spuszczając z nich wzroku, powiedziała wolno i dobitnie:

— Czekałam na panów.

Zadziwienie odbiło się w głosie sędziego.

— Jakto, czekałaś pani na nas?... No, tem lepiej, to nam rzecz ułatwi.

— Czy przychodzicie tu, żeby mnie potępić tak jak inni? Czy przychodzicie do mnie jako nieprzyjaciele, czy też chcecie mnie bronić? Czy nareszcie znajdę w was ludzi, co będą głuchymi na wszystkie obelgi i posądzenia rzucane na mnie, co zajmą się zbadaniem tajemnicy, która plami mój honor i odebrała mi szczęście całego mego życia?

Słuchali niepewni, jakto więc to obwiniona zamiast poddać się badaniu pierwsza, sama odzywa się, żeby ich oskarżać?

— Pani, nie jesteśmy ani jej wrogami, ani życzliwymi, naszym zadaniem jest dać zwycięstwo prawdzie i sprawiedliwości.

— A więc brońcie mnie, bo ja jestem ofiarą... brońcie mnie, gdyż prawda moich postępków została zapoznaną, bo mnie znieważono, bo umieram pod ciężarem niesprawiedliwości, świat cały jest przeciw mnie.

— Naszym obowiązkiem jest zarówno bronić panią, jak i ukarać, bądź pani pewną, że wypełnimy nasze zadanie.

Karolina zamyśliła się, jakby zbierała siły, potem wzniosła oczy do nieba i modliła się w te słowa:

— Oh! Boże, daj, żeby mi uwierzyli!

Usiadła na krześle, pochyliła głowę i odezwała się z prośbą w głosie:

— Pozwólcie mi panowie siedzieć, jestem bardzo osłabioną, chociaż dziś nie tak cierpię, głowę mam mniej ciężką.., teraz proszę, badajcie mnie, przysięgam, że będę mówić prawdę, ona tylko może mnie ocalić.

Sędzia zabrał miejsce w cieniu pokoju, Karolina była w pełnem świetle; przez otwarte okno wpadały całe snopy słońca. Niebo było czyste, bez chmur, ptaszki śpiewały wesoło, zapach kwiatów z tarasu i doliny napełniał powietrze. Wiosna była w całym rozkwicie, tam daleko widać zieleń lasów, słychać szmer rzeki, natura się śmieje, budzi do życia i szczęścia.

— Powiedziałaś pani, że tylko prawda może cię ocalić, odpowiadaj nam szczerze, mów wszystko.

— Wiem, o co mnie obwiniają, słyszałam to wczoraj, dziś rano, krzyki tych ludzi co mi tak źle życzą bez powodu doszły mnie aż tu... ale ja im przebaczam!

— O cóż oni panią oskarżają?

— Że otrułam moje dziecko.

— A pani cóż mówisz na to?

— Całą siłą, całą moją rozpaczą przeczę temu. Nie mogę pojąć powodu tych obelg, jestem bezsilną wobec nich, na co, dla czego miała bym pragnąć śmierci tego dziecka, czyż jego śmierć wróciła by mi honor, któż zabija bez przyczyny?

— Obawiałaś się pani powrotu męża... lecz chcę pani zadać jeszcze inne pytanie. Czy możesz mi pani oznaczyć wyraźnie co robiłaś wczoraj wieczór od 8-ej godziny?

— Oh, to mi przyjdzie z wielką łatwością.

Wczoraj koło 8ej wrócił właśnie mój mąż... musiałam mu opowiedzieć o wszystkiem co tu zaszło w czasie jego nieobecności; potem przechodził tedy doktór Renneville, mąż mój zawołał go tu... doktór powiedział, że dziecko nie umarło śmiercią naturalną i poszedł sobie. Poźniej mąż mój odszedł także i zabrał moje dwie córeczki... ja zemdlałam, a kiedy wróciłam do przytomności, wybiegłam z domu, chciałam odnaleść doktora, bo czułam, że on mnie obwinia o śmierć dziecka, bałam się, że on o tem rozpowie, a to równało by się zbrodni, bo to przecież nie prawda! Biegałam w nocy po wsi szukając doktora i męża, myślałam że go ubłagam, żeby mi oddał dzieci. Więcej już nie mam nic do powiedzenia, zmęczyłam się bardzo, upadłam i znów straciłam przytomność. Znalazł mnie bez czucia w lesie Jan Bertelin i przyprowadził do domu. To już wszystko!

Sędzia wstał, zbliżył się do krzesła, na którem leżało zmoczone, zabłocone ubranie, czarna suknia i buciki, poruszył to końcem laski.

— Czy byłaś pani niedaleko ruin opactwa?

— Być może, ale dobrze nie pamiętam... tak coś sobie przypominam.

Znów biedna istota zapadła w jakieś dziwne zamyślenie i nie zważając na obecnych mówiła sama do siebie:

— Tem lepiej... tem lepiej, że mnie obwiniają temi posądzeniami, im więcej zbrodni to dla mnie lepiej, bo jak się

przekonają, że jestem niewinną jednej z nich, dowiedzą się też, że żadnej nie popełniłam.

Sądownicy choć to słyszeli, ruszali tylko ramionami, oni mieli swoje ułożone zapatrywania, pan Bariller skinął na żandarma stojącego u drzwi i rozkazał zrobić rewizyę mieszkania, sam przy tem asystował; Karolina wręczyła im klucze, ceremonia ta nie trwała długo, nie było nic skrytego w tym domu, żadnej tajemnicy. W szufladzie biureczka znaleziono jedyną paczkę listów, sędzia je otwierał i czytał pobieżnie. Był to cały romans młodej dziewczyny, listy narzeczonego, później męża. Sędzia rzucił je znudzony mówiąc:

— Nie rozumiem tego.

— W oczach biednej, zwiędłej lilijki ukazały się łzy, lica jej pokrył rumieniec, znieważono czystość jej duszy, ktoś ośmielił się skraść tajemnicę jej serca! Urzędnik widział to, zmięszał się, zrozumiał, że pełniąc obowiązek bez potrzeby był niedelikatnym i okrutnym, skłonił się przed Karoliną i powiedział z dobrocią: „Wybacz mi pani".

Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnem wdzięczności, ona tak dawno nie słyszała słów litości.

— Co pani masz do powiedzenia na swoją obronę?

— Nic zupełnie, prócz tego, że nikt nie ma prawa bez dowodów obwiniać tak matkę.

— Nie tylko opinia publiczna jest przeciwko pani.

— Jakto! czyż znalazł się jeszcze ktoś ślepy i złośliwy co miał odwagę oskarżyć mnie?

— Tak to doktór Renneville.

— Więc on żyje, nie umarł?

— Umarł... ale oto list, jaki napisał przed śmiercią.

— Pan Bariller odczytał Karolinie cały list tak ważny, kiedy skończył, ona powiedziała z powagą. Tak... wszystko to samo mówił tu wczoraj wobec mego męża i mnie, nie kryjąc też i tego, że ma zamiar zawiadomić pana o swojej opinii.

— Przeczyłam temu z równą siłą wczoraj, jak i dziś to czynię... Nikt, nikt prócz mnie nie zbliżał się do dziecka.

— Czy to już wszystko co nam pani masz do powiedzenia?

— Ależ tak... ja tu jestem bezsilna, wszystko mnie potępia... czuję, że mnie doprowadzą do waryacyi. Wszyscy mnie porzucili, przyjaciele, mąż, dzieci! Jakże się mogę bronić, co mam znaleść przeciwko tym dowodom i obwinieniom, czuję, że jestem zgubioną. Zaczęła płakać cicho, rzewnie, łzy biegły jak perły po bladej twarzyczce, a ona nie starała się je ukrywać.

W tejże chwili żandarm stojący na tarasie wszedł do pokoju i coś powiedział do sędziego.

— Niech wejdą.

Zaledwie sędzia to wymówił, ktoś zbliżył się krokiem ciężkim z pochyloną głową; to był Jerzy Lamarche postarzały o lat 20 od wczorajszego wieczora. Przez jedną noc włosy jego zbielały, nieszczęśliwy zmienił się do niepoznania, prowadził swoje dwie córeczki Klarę i Luizę. Kiedy dzieci zobaczyły wyciągnięte ku sobie ramiona matki, rzuciły się do niej z okrzykiem, objęły ją, tuliły się do niej i wołały:

— Mamo! oh! mamo już cię nigdy nie opuścimy!

Ona zwróciła na Jerzego oczy i powiedziała z prostotą:

— Dziękuję ci mój przyjacielu, dziękuję za tę wielką radość, ale nagle zamilkła na widok tego starca o rysach zmienionych, wykrzywionych straszną boleścią...

— Oh! Jerzy, Jerzy zawołała z wybuchem rozpaczy.

— O Jerzy, biedny Jerzy jakże ty musiałeś cierpieć?

— Oh tak — odpowiedział, nie wiem jak się to stało, że nie umarłem tej nocy, że nie zwarjowałem!

— Karolina padła przed nim na kolana.

— I to ja... ja jestem tego powodem... jakże on mnie musiał kochać.

Złożyła dłonie w niemej prośbie.

On stał wobec niej bez gniewu, ale odwrócił oczy, nie czuł nic już więcej prócz swojej wielkiej boleści i rozpaczy.

— Tak, tak, to przeze mnie powtarzała, a ja jestem niewinna.

— Jesteś pani niewinna? Mów zatem teraz prawdę wobec tego nieszczęśliwego człowieka!

— Jestem niewinna.

Sędzia patrzał z powątpieniem.

— Przecież wszystko panią obwinia, jej postępowanie, to dziecko, twoje przyzwyczajenia...

Sędzia wzruszył ramionami, widocznem było, że ta kobieta odgrywa dobrze swoją rolę, zakończył więc wszystko temi słowy:

Karolino Lamarche jesteś uwięziona!

— Zgubiona, jestem zgubiona!

Spojrzała na tych ludzi, na sędziów nie mogła już liczyć, a ten trzeci, jej mąż był tak słaby, tak zrozpaczony, że sam potrzebował podpory i obrony. Nikt.., nikt powtarzała tuląc do siebie dziewczynki... a z wami co się stanie moje najdroższe?

— Mamo, czy mamy znów odejść od ciebie?

Pieściła je, pocieszała, a one widząc, że matka płacze też płakały, przy jej sercu biły może po raz ostatni maleńkie drogie serduszka.

Znów żandarm wszedł mówiąc do sędziego:

— Pan Jan Bertelin pragnie mówić z panem sędzią.

Wszedł pospiesznie do pokoju Bertelin z błyskawicami gniewu w oczach, stanął śmiało wobec urzędników i mówił bez obawy.

— Dowiedziałem się co tu zaszło, już wszędzie krzyczą, że to Karolina zabiła doktora. Oh, ci nędznicy, mam przynajmniej nadzieję, że wy panowie nie dajecie temu wiary.

To odezwanie się rozgniewało urzędników.

— Nie mamy obowiązku zdawać panu sprawy z tego, jakiem prawem ośmielasz się pan pytać nas o to?

Jan zwrócił się do Karoliny.

— Oni uwierzyli co?

— Tak uwierzyli! Oh! Janie, Janie, broń mnie, wszyscy mnie odstąpili.

Jan wskazał na Jerzego.

— Nawet on?

— On przedwszystkiem, ale ja nie mam żalu do niego, patrz!

Jan popatrzał, zapomniał w owej chwili, że to był ten, który mu zabrał ukochaną kobietę, widok jego boleści poruszył go silnie, wyszeptał tylko:

— Biedny człowiek!

Znów zwrócił się do przedstawicieli władzy.

— Więc panowie tak bez badań od jednego rzutu oka doszliście do wniosku, że ta kobieta jest winną i zabieracie ją sobie.

Pan Bariller zawołał z gniewem:

— Hej żandarm wyprowadź za drzwi tego człowieka.

Jan zbladł, być może, że w pierwszym porywie gniewu byłby rzucił się na sędziego, ale Karolina zastąpiła mu drogę ze słowy prośby:

— Janie, mój przyjacielu, uspokój się, błagam cię!

Pokonany skłonił się sędziemu.

— Przepraszam pana, ale bo to co się tu dzieje jest takie straszne!

— Czy to już wszystko co chciałeś mi pan powiedzieć?

— Nie, wkrótce będę miał coś więcej do mówienia.

— Dlaczegoż nie zaraz.

— Nie czas jeszcze!

— Janie — zawołała Karolina jakby olśniona — zostawiasz mi nadzieję?

— Nie... nie Karolino, nic jeszcze nie wiem, lecz chciałem ci coś powiedzieć. Słyszałem tam z terasu jak się żaliłaś, że nikt nie wierzy w twoją niewinność. Mylisz się, ja zawsze stawałem w twojej obronie, mówiłem, że jesteś chora, ale nie pijaczka. Kiedy to dziecko przyszło na świat, myślałem, że oszaleję... ty powiedziałaś mi: „Jestem niewinna" i ja w to uwierzyłem pomimo wszystkiego. Jest na świecie jeden człowiek co nie podziela ogólnej o tobie opinii, ja nim jestem i uczynię wszystko, żeby cię ocalić!

— Dziękuję Ci Janie... niestety cóż ty możesz uczynić?

Uścisnęła mu rękę, potem podeszła do męża i dłoń swoją położyła na jego ramieniu.

— Jerzy, słówko tylko... czy słyszałeś co mówił Bertelin?

— Tak!

— A ty Jerzy, cóż ty mi powiesz? Czy mi nie rzucisz choć jednego słówka, jak jałmużny z litości? Jest człowiek na świecie co wierzy w moją niewinność, a tym człowiekiem nie jesteś ty Jerzy?

— Ten człowiek ciebie nie kocha, cóż go to może obchodzić!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Trzej przewodnicy.

W mroźny zimowy wieczór na skraju ponurego lasu stanął młodzieniec. Wysokie drzewa o ciemnej korze i nagich gałęziach tuliły się do siebie, jak olbrzymie widma; ich korzenie ginęły w dzikich kolących krzakach. Tu i owdzie szły wązkie, kręcone ścieżki, usypane ostremi kamieniami. Wszystko w tym lesie zdawało się grozić przechodniowi.

Lecz młodzieniec szedł śmiało naprzód. Zamyślony głęboko, nie spostrzegał nawet, że zarośla stawały się coraz gęstsze, droga coraz trudniejsza. Szedł naprzód.

Wreszcie siły go opuściły i młodzieniec stracił nadzieję wybrnięcia z tego labiryntu. Rzucił się na ziemię i leżał nieruchomo, znużony i zgłodniały. Zimno spętało zmęczone członki. Z bólu jęczał głośno, aż jękiem odbrzmiało echo leśne.

Podniósł głowę. Stało przed nim trzech mężczyzn. Nie widział, kiedy przyszli, nie słyszał ich kroków.

Młodzian zadrżał pod przenikającym wzrokiem nieznajomych. A dziwnie wyglądali. Jeden był w bogatych, złotem tkanych szatach, opasany pasem z drogich kamieni. U boku miał miecz. Drugi nieznajomy ubrany był cały czarno, z czerwonym pasem. Trzeci miał na sobie błękitną bluzę i w ręku topór.

— Co tu robisz młodzieńcze? — zapytali razem nieznajomi.

— Umieram... litości! — wyjąkał młodzian.

— Czego żądasz?

— Pragnę jaknajprędzej wydostać się z tego przeklętego lasu.

— Więc wybierz sobie jednego z nas za przewodnika. Jeden ci wystarczy, weź kogo chcesz...

Młodzian obrzucił wszystkich raz jeszcze spojrzeniem. Pociągnął go strojny, ubrany w brylanty i złoto.

— Bądź przewodnikiem moim — rzekł do niego.

— Dziwny uśmiech przesunął się po wargach nieznajomego, lecz podał młodzieńcowi rękę, a w tej samej chwili zniknęli dwaj jego towarzysze.

Młodzieniec przerażony schwycił ręką przewodnika i pomknęli razem w szalonym biegu.

Pędzili tak długo, a końca lasu nie było jeszcze widać.

— Już nie mam sił!.. jęknął młodzian i zatrzymał się u rozstajnych dróg.

— Droga jeszcze daleka, nie podołamy pieszo... Ale za chwilę będzie tu przejeżdżał jeździec. Weź miecz mój i gdy się przybliży zabij go... Schwycisz konia i pomkniemy dalej.

— Boże! A któż ty jesteś, że popychasz mię na drogę występku?

— Jestem — zbrodnia!

— Precz odemnie — krzyknął młodzian i padł twarzą na ziemię.

Piekielny śmiech rozległ się po lesie i przewodnik znikł.

Gdy młodzian podniósł głowę, ujrzał przed sobą dwóch pozostałych nieznajomych.

— Co tu robisz? — zapytali go.

— Umieram! Zlitujcie się nademną!

— Czego chcesz od nas?

— Opuścić ten las przeklęty...

— Wybierz że sobie za przewodnika jednego z nas. Od ciebie zależy wybrać odpowiedniego.

Młodzieniec spojrzał na nieznajomych, i wybrał ubranego czarno z czerwonym pasem.

— Ty pójdź ze mną.

Nieznajomy milcząc, z uśmiechem podał młodzianowi rękę — a towarzysz jego zniknął jak zjawisko.

Po godzinie drogi znaleźli się przy wejściu do podziemia, zkąd dochodziły dzikie okrzyki i głuche jęki.

Już dalej iść nie mogę... — rzekł z jękiem młodzian i zatrzymał się.

— Droga jeszcze daleka, koniec nie prędki. Przyprowadziłem cię tutaj, aby ci ukazać środek prędszego wyzwolenia. Tu w tem podziemiu mieszka śmierć, która leczy wszystkie cierpienia...

— Okrutny! Kto jesteś i dlaczego popychasz mnie do takiego kroku?

— Jestem — rozpacz!

— Precz, precz odemnie! — zawołał młodzian i padł twarzą na ziemię.

Znów po lesie rozległ się śmiech szatański. Młodzian pozostał sam.

Gdy się ocknął, stał przed nim trzeci nieznajomy.

Przypomniawszy sobie poprzednich przewodników, nieszczęśliwy chciał uciec, lecz nieznajomy zatrzymał go.

— Pójdź ze mną... Droga daleka i ciężka, lecz Bóg nie opuszcza cierpiących...

Młodzian spojrzał na mówiącego i wyciągnął doń rękę, lecz ten, ręki mu nie podał i poszedł powoli naprzód.

Szli, torując sobie drogę przez gęstwinę, ścinając drzewa, wyrąbując krzaki.

— Weź jedno drzewo na ramiona! — rozkazał nieznajomy.

Młodzian był bardzo znużony, lecz nie czuł prawie ciężaru. Szli coraz dalej z trudem i wysiłkiem, wreszcie się wydostali na skraj lasu.

Ujrzeli przed sobą obszerną polanę, na niej pałac wspaniały.

Przewodnik odezwał się:

— Przeszedłeś przez las trosk i nędzy, pamiętaj! Rzuć teraz swe brzemię!

Młodzian zrzucił z ramion drzewo, które w tej chwili zamieniło się w grudę złota.

— Kto jesteś, dobroczyńco mój? — zapytał zdumiony młodzian.

— Jestem — praca! brzmiała odpowiedź. *K. P.*



KRONIKA.

Oto i spadł już popiół na głowy nasze i do uszu naszych wpadło pełne powagi przypomnienie: z prochu powstałeś i w proch się zamienisz. Jeszcze nam w uszach dzwoniły dźwięki dziarskich mazurów i śpiewnych oberków, jeszcze karnawałowe, weselsze usposobienie rozchmurzało zasępione czoło, gdy padały słowa kapłana, przypominające nam, że prochem marnym jesteśmy, że w proch się zamienimy.

Myśli pokarnawałowe nie u wszystkich są wesołe. Niejeden tata, rodziciel nadobnych cór, zagląda do sakiewki i spostrzega, że wesoły karnawał wyszlamował mu sporo złota, a nadobne córy, które książę karnawał miał zaprowadzić na ślubny kobierzec, w domu zostały.

Wzdycha też niejedna mama, rozmyślając, ile to nocy spędziła w salach balowych, matkując ślicznym pisklętom. Przypomina sobie, że pan Władysław dwa razy angażował piękną Mazię do mazura, że jej piękna Mazia wybierała pana Władysława raz do figury, drugi raz do białej Polki i to wszystko jednego wieczoru, że tak im było ładnie w tańcu, że tak lekko płynęli po szklistej posadzce, czy to w Polce, czy w pas mazurowem, że już doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego ten pan Władysław nie wybrał sobie Mazi na całe życie. Ale rozmyślająca nad minionym karnawałem mama, wie dobrze, czemu, oto następnego wieczoru przybyła na bal Misia — kokietka, zalotnica i ona zdołała rozwiać piękne marzenia mamy, no i Mazi. Lecz Mazia, zamiast okazać smutek, bawiła się wybornie z panem Zygmuntem. — A pan Zygmunt to wcale nie partya!

Co też tej Mazi strzeliło do głowy? Może chciała wzbudzić zazdrość w Władysławie.

Trzeba jednak znać tego Władysława. Partya wprawdzie dobra — ale to froter, bałamut — wstrętny człowiek. Jakie to on czułe oczy robił do Misi — i jak ona się do niego wdzięczyła. Zasiedli w kąciku sali — lecz ona przysiadła się przy nich — i w chwili, kiedy może paść decydujące słowo, kichnęła tak przeraźliwie, że czuła para przestraszona zerwała się, życząc jej pomyślności.

Że Misia jej nie życzyła szczerze — o tem wcale nie wątpi, ale zemściła się na niej.

Taki Władysław ochłonie natychmiast, nie będzie go miała Mazia — nie dostanie go też Misia.

I mama słodko zasypia w popielcową środę, wypoczywając po trudach karnawału — lecz kiedy Morfeusz na powieki jej poczyna sypać usypiający piasek — budzi ją znowu myśl o Zygmun-

cie. Tak — ten Zygmunt! Partya nieświetna — ale ma przyszłość przed sobą i mama rozmyśla, jakby Zygmusia przykuć do Mazi.

A Mazia? — Siedzi w swym pokoiku, liczy zeschłe już nieco bukieciki z kotyliona i myśli, ten od tego, ten od owego — a tamten od tego niewdzięcznika Władysława. On ją ścisnął za rączkę, ona oddała mu lekko uścisk, czyż nie dosyć awansu? A ten Zygmunt! Jakiż to nieśmiały młodzian. Ona mu stawiła kwestyą tak jasno, że już jaśniej nie było można, a on jeszcze nie rozumiał. Czy tylko nie rozumiał? — O, cicha woda! Filuta ma za uszami. — O Władysławie nie myśli — ten tylko zawraca głowy... idzie w wyznaniach bardzo daleko — lecz w ostatniej chwili zawraca, wytrawny bałamut — nie ma wcale zamiarów seryo — tylko o flirt mu chodzi.

Wtem wyjrzała oknem — na ulicach właśnie zapalają latarnie! Sunie wysmukły młodzian, w cylindrze, spostrzegł ją, ukłonił się. Godzina szósta wizytowa — mógłby przyjść zapytać się o zdrowie.

W tej chwili rozlega się głos dzwonka.... To on!.. Sama pobiegnie otworzyć... uda potem zakłopotanie — powie, że myślała, iż to przyjaciółka jej od serca, Misia przychodzi. Jemu będzie przyjemnie, że go przyjmie nie służąca, lecz ona, że mu powie, iż go się pół na pół spodziewała.

Biegnie do drzwi... otwiera... To nie Zygmunt, to panna od pań Iksińskich, modniarek. List z rachunkiem... Marzenie rozwiane... tata będzie w jeszcze gorszym humorze... Rachunek odda mamie. Mama już wie, jak z papą w tych razach mówić..

Ten Zygmunt!

Ale może ten Zygmunt jeszcze w poście się namyśli — kto wie?

Ileż to westchnień poszło na marne w tym karnawale, ileż marzeń się rozwiało — ile życzeń nie spełnionych, lecz tak bywa co roku — tak bywa w każdym karnawale. A kto wie, czy te rojenia tat, mam, panien i odwrotnie kawalerów o dobrych partyach i posażnych żonach nie spełnią się w przyszłym karnawale? *Irydion.*



Przepisy postne.

Wykonując Mandat św. Stolicy Apostolskiej z dnia 31 go sierpnia 1899 r., pragnącej, aby w dyecezyach Naszych zastósować się do praktyki zachowania postów, przestrzeganej w sąsiednich Nam dyecezyach, zwłaszcza wobec ułatwionej komunikacyi i wędrówek z jednej okolicy do drugiej, udzielamy po porozumieniu się z Najprzewielebniejszym X. Biskupem Chełmińskim, z ramienia i w imieniu Stolicy Apostolskiej na czas od Popielca 1902 r. do Popielca 1903 r. następujące dyspensy z uwagą, że nikt nie jest zobowiązany z tych zwolnień korzystać, ale, jeżeli chce, może od mięsnych pokarmów, jak dotąd, tak i nadal się wstrzymywać.

1. Wolno zatem używać mleka, masła, sera, jaj we wszystkie dni postu całego roku z wyjątkiem Wielkiego Piątku;
2. wolno używać tłuszczu do kraszenia potraw w dni postne z wyjątkiem ostatnich trzech dni Wielkiego Tygodnia tym wszystkim, którzy na masło nie mają, masła i oleju znieść nie mogą, lub ciężko pracować muszą;
3. wolno używać mięsa kilkakrotnie w soboty całego roku z wyjątkiem sobót Wielkiego Postu, suchych dni i wigilii, na które przypada post ścisły;
4. wolno używać kilkakrotnie mięsa w dni krzyżowe;
5. co do Wielkiego Postu wolno używać mięsa, lecz tylko przy jednem posileniu: w poniedziałki, wtorki i czwartki z wyjątkiem Wielkiego Czwartku; w niedzielę zaś przy każdem posileniu. Kto chce używać mięsa w dni powyżej oznaczone, nie potrzebuje odtąd udawać się po dyspensę osobną do swego duszpasterza albo spowiednika, atoli jest zobowiązanym wedle rozkazu Ojca św., w Mandacie wyrażonego, gorliwie spełniać dobre uczynki i obfitszą złożyć jałmużnę na ręce swego duszpasterza, albo do skarbonki, która szczególnie w miejskich parafiach na ten cel w kościele powinna być wystawioną z napisem: „jałmużna postna“ Złożenie jałmużny wielkopostnej dowolnej pozostaje zatem ścisłym obowiązkiem. Jałmużny te są przeznaczone na dobre cele dyecezalne.
6. kapłani i osoby zakonne również korzystać mogą z powyższej dyspensy bez osobnych wniosków do swej władzy przełożonej;
7. słabi, chorzy stosować się mogą pod względem postu do przepisów sumiennego lekarza.

Nadmieniamy, celem uniknienia wszelkich wątpliwości, że

a) dyspensa ta w niczem nie zmienia obowiązku ścisłego postu, t. j. jednorazowego aż do sytości posilenia się w ciągu doby; w środy i piątki adwentowe, suche dni, wigilie i wszystkie dni Wielkiego Postu z wyjątkiem niedziel;
b) mięsa i ryb równocześnie przy jednem posileniu w dni ścisłego postu używać nie wolno.

Oświadczamy wreszcie, że zachowanie postu wedle dawniejszego u nas zwyczaju będzie zawsze rzeczą chwalebną i pożądaną.

Ze względu na wielki brak duchowieństwa trwać będzie Spowiedź i Komunia św. wielkanocna od czwartej niedzieli postu do trzeciej niedzieli po Wielkanocy.

Niniejszy list Pasterski będzie odczytany w miejsce kazania we wszystkich kościołach, i wprawdzie pierwsza połowa w Niedzielę Zapustną (Quinquagesima) z dołączeniem upoważnienia postnych dyspens, część druga w niedzielę I Wielk. Postu (I. Quadragesimae.)

Dan w Poznaniu w pałacu Naszym Arcybiskupim w dziesiątą rocznicę konsekracyi Naszej biskupiej dnia 17 stycznia 1902.

† *Floryan,*

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański.

Wiadomości.

— **Dziękczynne oświadczenie prezesa Koła sejmowego polskiego w Berlinie.** Dzień, w którym ukończyłem 80 rok życia mego na ziemi, dał powód do tak licznych, a zaszczytnych dla mnie objawów życzliwości, że niepodobną staje się rzeczą, tak jakbym pragnął, dziękczynnie, a szczegółowo na nie odpowiedzieć. Nie pozostaje mi, jak tylko droga publicystyczna, której się chwytam.

Uznanie, jakiego mi nie szczędzono,

w poczuciu mojem, o wiele przenosi zasługę moją, niemniej przeto przyjmuję wyrażone mi życzenia z sercem wzruszonem i pełną wdzięcznością jako dobrych moich chęci uznanie.

Starałem się służyć społeczeństwu memu i dobrej jego sprawie siłami, na jakie mnie stać było. Poczucia obowiązku i wytrwałości w wierze, w każdej życia dobie, były dla mnie siłą odżywczą w twardych walkach, które, jako wierny żołnierz sprawy narodowej staczać mi przychodziło. A jeżeli wiek bardzo podeszły, naturalnych rzeczy ludzkich koleją, słabszemi czyni wszelkie mej osoby siły, to niewzruszoną pozostała we mnie wiara w ostateczne dobrej sprawy zwycięstwo. Z nią, da Bóg, wytrwam do końca dni moich.

Niechaj to z serca pełnego wychodzące oświadczenie, starczy wszystkim, którzy mi życzliwość swoją okazali, za podziękowanie.

Wszystkie pisma, które wspominały życzliwie o 80-letnim jubileuszu życia mego, proszę uprzejmie o powtórzenie powyższego mego dziękczynnego oświadczenia.

Dr. Henryk Szuman.

Berlin, w lutym 1902.

— **Z teatru.** Dnia 20-go b. m. w przyszły czwartek odbędzie się benefis młodego, utalentowanego artysty, ulubieńca naszej publiczności, p. Malskiego. Odegraną będzie znakomita komedya Kazimierza Zalewskiego p. t. „Złe ziarno.“

Niewątpimy, że publiczność nasza licznie podąży do teatru i zapełni szczelnie całą widownią tak ze względu na cel przedstawienia, jak też ze względu na wyborną sztukę polską, oryginalną.

— **Pan Czesław Kusztelan**, syn dyrektora Banku Związku Spółek Zarobkowych, wstąpił jako wspólnik do firmy tutejszej „S. Michalski i Ska“ — zakład kamieniarsko-rzeźbiarski i fabryka wyrobów marmurowych.

Firma ta renomowana i zaszczytnie wszędzie znana, rozszerzyła obecnie zakres swego działania wskutek powiększenia funduszów.

Życząc firmie jak najlepszego powodzenia, ślemy p. Czesławowi Kusztelanowi staropolskie: „Szczęść Boże!“

Pan A. Kosidowski otworzył w mieście naszem przy ulicy Wiktoryi 19, wprost ul. Berlińskiej pierwszorzędny zakład krawiecki, zaopatrzony w wielki wybór materyałów z fabryk renomowanych. Zwracając na odnośne ogłoszenie uwagę Szanownych Czytelników, polecamy pana A. Kosidowskiego, doskonałego w swym fachu przemysłowca, jej łaskawym względom.

— **Fortepian**, na którym grano w koncertach zeszłego piątku i niedzieli w Bazarze, pochodzi ze sławnej fabryki *Steinwega* w Brunświku, założonej na początku zeszłego wieku. Roku 1850 przekazał Henryk Steinweg fabrykę swą najstarszemu synowi, a sam wywędrował z młodszymi synami do Ameryki, gdzie przekształcił nazwisko swoje Steinweg na angielskie Steinway i założył w Nowym Jorku drugą fabrykę pod firmą Steinway & Sous. Oba te zakłady pracowały ręka w rękę jako należące do jednej rodziny; dopiero w r. 1872 zerwano wskutek nieporozumień stosunki handlowe, a firma amerykańska, chcąc zatrzymać łącznik z Europą założyła filię w Hamburgu, do której przez Ocean eksportuje wyroby swoje. — Oto historya dwóch słynnych firm: Steinweg i Steinway. Pierwsza jest znacznie starszą i niejako macierzą drugiej. Fortepiany jej odznaczają się nadzwyczajną trwałością jako też bardzo dźwięcznym i pełnym głosem. Wyłączny ich skład na całe Księstwo ma p. *A. Drygas* w Poznaniu, jedyny polski magazyn fortepianów pod zaborem pruskim.

— **Pan P. Zwierzycki**, właściciel drogeryi pod aniołem w Gnieźnie i drogeryi w Kórniku, nabył świeżo w Trzemesznie przy ulicy Swiętojańskiej nr. 138 położoną drogeryą, połączoną z handlem towarów kolonialnych, łakoci, win, cygar i t. d. Nowo ten nabyty interes jako też drogerye pana Zwierzyckiego w Gnieźnie i Kórniku polecamy względom Czytelników naszych.

— **Dla gimnazyastów** wydalonych i zasądzonych nadesłała p. J. N. T. 1 markę. Dotąd złożono na ten cel 193 mrk. 20 fen.

— **Na biedną wdowę** nieszczęśliwą (patrz nr. 6-ty „Pracy“) złożyła w dalszym ciągu pani N. N. z Brus (Prusy Zachodnie) 3 mrk.

Dotąd złożono na ten cel 4 mrk. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Zmiana dnia posiedzeń.** Zebrania Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu (Starego Przemysłu) będą się odtąd odbywały w każdy drugi piątek miesiąca. Przełożenie posiedzeń z środy na *piątki* nastąpiło dla umożliwienia brania udziału w zebraniach tym członkom Towarzystwa, którzy należą także do *Korporacyi kupieckiej*, mającej swe posiedzenia w środy.

— **W dniu** 11-go b. m. odbył się egzamin ustny abituryentów w tutejszem gimnazyum Fryderyka Wilhelma. Wszyscy abituryenci w liczbie 16 złożyli egzamin; między nimi był jedyny Polak p. Leon Drożyński z Kórnika, którego dla dobrych prac piśmiennych od ustnego egzaminu zwolniono.

— **Nowa broszura**. Świeżo został ukończonym druk broszury „O wpływie ducha na ciało.“ Jest to tłomaczenie popularnej naukowej rozprawy profesora uniwersytetu w Bernie, dr. Dubois.

Rzecz sama obudziła bardzo żywe zajęcie w szerokich kołach inteligencyi społeczeństwa w Szwajcaryi i Francyi. Jest to podana w sposób zajmujący, w krótkich treściwych słowach, w formie wytwornej, a dostępnej, nauka wychowania samego siebie, poznania własnego charakteru i umocnienia go.

W czasach naszych, w których ogólny rozstrój nerwowy tak wielkie nieraz przybiera rozmiary, jest to bardzo cenny dorobek naukowy popularnej literatury świata. Byłoby wielką korzyścią moralną dla społeczeństwa, gdyby całe przyswoiło sobie prawdy francuskiego myśliciela, którego wykład dąży do przywrócenia ludzkości w zdrowem ciele zdrowej duszy, co tak bardzo przyczynić się może do szczęścia nietylko osób pojedyńczych, ale i całych rodzin.

Tłomaczenie łączy sumienną dokładność z doskonałem zachowaniem charakteru języka polskiego.

Część dochodu ze sprzedaży przeznaczył sam autor na cele dobroczynne. Cena za egzemplarz 1 mrk. z przesyłką 1,05 mrk. Do nabycia w składzie głównym „Księgarni Polskiej“ p. Tempłowicza w Poznaniu, ul. Wilhelmowska, oraz we wszystkich innych księgarniach.

— **Z Towarzystwa Przyjaciół Nauk.** Na posiedzeniu wydziału przyrodników-technicznych Towarz. Przyjaciół Nauk, odbytem dnia 24 stycznia, dokonano wyborów nowego biura, wybrano delegata do komitetu mającego sądzić o projektach nadesłanych do konkursu mającego powstać we Lwowie kościoła św. Elżbiety, zatwierdzono komisyą mającą się zająć urządzeniem walnego zebrania i załatwiono wiele innych jeszcze spraw wydziałowych.

Nadto miał p. dr. F. Chłapowski połączony z demonstracyą wykład o fulgurytach czyli piorunkach. Pokazał mianowicie kawałki rurki zeszklonej, powstałej skutkiem uderzenia piorunu w piasek sypki w Starczynowie pod Olkuszem. Z tego powodu odczytał ustęp odnoszący się do fulgurytów z tej miejscowości, napisany przez F. Roemera a znajdujący się w przekładzie w nr. 1 Wszechświata.“

Następnie odczytał dr. Chłapowski dalszy ciąg swego streszczenia o udziale Polaków w postępie nauk przyrodniczych w dziesiątku lat ostatnim 1890 do 1900, a mianowicie w postępie botaniki i florystyki bardzo znacznym. Mniejszy był udział Polaków w postępie zoologii a zwłaszcza faunistyki. Za to udział ich w postępie anatomii porównawczej i embryologii był wcale nie mały.

Prelegent uzupełniał niektóre niedostatki sprawozdania Kulwieca w 1000-ym numerze „Wszechświata.“

Jako ogólny wynik tego przedstawienia, które zajęło aż dwa posiedzenia, można śmiało postawić twierdzenie, że udział Polaków w postępie w naukach przyrodniczych, choć posiadają własne uniwersytety i szkoły wyższe tylko w Galicyi, był wcale nie mały. Tylko w zaborze pruskim udział ten był mniejszym i coraz się zmniejsza.

— **Pan J. Szudarek**, sołtys z Skrzetusza, donosi nam, że korespondencya z Wielichowa, dotycząca jego osoby, a ogłoszona w numerze 4-tym „Pracy“ z r. b., zamieszcza fakta kłamliwe i z prawdą się nie zgadzające.

Między innemi pisze p. Szudarek:

„Co do tej gromady, w której się ów autor w swej korespondencyi wyraża, że mówiłem po niemiecku, tego mu nie zaprzeczam, ale jak na drugi raz, to proszę owego autora, niech się do mnie zgłosi i przeczyta niemieckie ustawy po polsku, bo ja tylko mogę takowe po niemiecku czytać, a na polskie przełożyć tym, co ich nie zrozumieli. Tak się też działo. A nieprawdą i kłamstwem wielkiem jest, żem do mych rodaków miał powiedzieć: (Hier wird deutsch gesprochen bei mir im Amtszimmer). Kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo!

„Tylko na podziw jednego członka gminy, że po niemiecku mówię, odpowiedziałem także po niemiecku: „Dass habt ihr von mir vor mein Eid verlangt, weil ich das nicht gewusst habe, dass ich das Gesetz nachgehen soll“, to jest prawda, bo ja nie myślałem o prawnem postępowaniu, bo mój język jest polski, a Polacy mi go złamali, a teraz mnie oskarzają fałszywie. A pomimo to, mówię z każdym po polsku, tylko tam, gdzie wymaga potrzeba, to po niemie-

cku! Nie tak, jak to ów korespondent pisze, że się prosili ławnicy, ażeby po polsku mówić, a ja na to nie chciałem przyzwolić. Wszyscy po polsku mówili prócz jednego, który słowa polskiego nie zrozumie. Ubolewa ów autor, że jestem członkiem dozoru kościelnego, i czemuż on nim nie jest? Dalej pisze autor, że asystuję księdzu w uroczystych procesyach, a czemuż on nie asystuje? Na zakończenie jeszcze dodaję: niech tylko ów autor oczyści wprzód w swym domu wewnątrz. Ryczywolski korespondent u mnie na gromadzie nie był, to też wiedzieć nie może prawdy, tylko go mogła zemsta, o której będzie pewno wiedział i którą też w korespondencyi poruszył, do tego spowodować.

Z szacunkiem

J. Szudarek."

Czytelników naszych prosimy, aby celem uniknięcia możliwych nieprzyjemności, sprostowań itd. tylko najwiarogodniejsze nadsyłali nam fakta, poświadczone podpisami co najmniej dwóch wpływowych osobistości z odnośnej miejscowości. Innych faktów bez poświadczenia nam nadsyłanych odtąd zamieszczać nie będziemy. — Przyp. Red.

Ruch w Towarzystwach.

— **W niedzielę** dnia 16-go b. m. o godz. pół do 3 ciej odbędzie się zwyczajne zebranio katolickiego Tow. terminatorów pod wezwaniem św. Alojzego w Poznaniu na salce Dominikańskiej. Na porządku dziennym wykład oraz inne ważne sprawy. O liczny udział członków uprasza

Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu Z. Er w Ciemierowie. — O ile nasze informacye sięgają: Dr. Zakrzewski przy ul. Rycerskiej.

Panu K. N. w Sw. — Ogłoś Pan w „Pracy", a ofert będziesz miał Pan pod dostatkiem do wyboru.

Panu Walentemu M. w Czempiniu. — Listu z fotografią nie odebraliśmy.

Panu Antoniemu Z. we Wrocławiu. — Anonsuj Pan w „Pracy", a skutek będzie pewny. Na ogłoszenie przyślij Pan 1,50 mk. z dołączeniem tekstu.

Panu A. L. w Oświęcimiu (Galicya). — Ze względów prasowych nadesłanego wiersza zamieścić nie możemy.

P. I. G. Mirotki. — „Przegląd Techniczny" — Warszawa.

P. J. Cegła Grodzisk. — 1 złoty reński 1,71 mrk., 1 korona 85 fen., 1 cent $1^3/_4$ fen., 1 grosz czyli halerz $^7/_8$ fen.

Panu Władysławowi H. w Szczecinie. — Pani S. Sikorska, Wielkie Chełmy p. Bruss W. Pr.

P. K. Kijański, Wilkes Barre Półn. Ameryka. — Abonament wyrównany do 1-go października 1902.

100 w Oberhausen. — O ile nasze informacye sięgają nie jest żydem.

Panu A. Goł... w Zielińcu. — Takie sprawy są na porządku dziennym. Nigdzie nie możemy uzyskać sprawiedliwości, choć wyrządzają nam bezprawie... Bądźmy cierpliwi, bo Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

P. W. Gizelski. — Nr. 1 i 41 wyczerpane.

P. M. Tomaszewski — Pittsburg Ameryka Półn. — Chętnie się na propozycyą Pańską godzimy.

Wykaz składek

na fundusz wrzesiński.

(Ciąg dalszy).

Jaraczewo: H. Latanowicz 1 m., A. Kurczewska 1 m., Józef Kowalski 3 m.

Jeżyce: Mieczek 50 f., Handschuh 2 m., Heimrath 3 m., I. S. 4,80 marki.

Jutrosin: Obywatele 40 m.

Jabłonica Galicya: Hipolit Kolman 1,10 kor.

Jarocin: J. Sroczyński 5 m., J. Dąbkiewicz 4,05 m.

Jasło: Galicya: Górski 1 kor.

Koronowo: Dudzińska 10 f., Piłat 20 f:, Majeran 10 f.. Skrobacka 10 f., Pulkowska 50 f., Nełkowska 1 m., Lewicz 10 f., Szulc 20 f., Czaplewska 10 f., Szymańska 10 f., Zielińska 10 f., Helmin 10 f., Bukolt 25 f., Mroczek 30 f., Goździewska 25 f., Lettan 1 m., Zawidzka 1 m., A. Kantak 5 m.

Komorze (Żerków): W. Hoffman 1 m.

Krzyż Galicya: Rodzina Halastrów 2,05 m.

Krążki p. Kempno: St. Fikus 1 m., J. Latusek 1 m., Piotr Olejnik 1 m., St, Olejnik 1 m., Paweł Haglaner 1 m., Idzi Michalczyk 1 m., Piotr Cichorz 50 f., Piotr Wodnik 1,90 m.

Krotoszyn: T. P. 2 m., W. A. 2 m., M. S. 3 m., Ks. Kegel 8,75 m., Marcia Ciesielska, Terenia Nawrocka i Marychna Stęczniewska razem 2,10 m., Stęczniewska aptekarzowa 1 m., H. Z. 50 f., T. S. 50 f., S. S. 1 m., T. Z. 1 m., J. L. 50 f.

Kuchary: S. K. 2 m.

Katowice: Tow. kupców polskich za pośrednictwem p. Cichockiego 17 m.

Kosztów G. S.: Tomasz Klimczok 5 m.

Kobylin: Rodacy z Kobylina 10 m. J. Gajowczyk 12 m.

Kempno: A. C. 3 m., I. C. 1 m.. Z. 1 m., Tomasz Kukuła 1 m., Jad. Cierpik 50 f., E. Filipowicz 20 f., P. Adamski 20 f., Czesł. Gola 1 m., Jakób Kłobus 1 m., Cieplik 50 f., S. Staszak 1,60 m.

Z Królestwa nad Gopłem zebrane przez p. Seweryne Żł.: S. Ż. 3 m., Dobrzańska 3 m., Domiński 1,25 m., Dejerski 85 f., Walenty Grocholski 1 m., Feliks Grocholski 1 m., Sypniewski 40 f., Abraham Cohn 30 f., Moritz Naschke 20 f., Panny K. Z. 1 m.

Koblencya: Weydner od siebie i przyjaciela 6 m.

Kolonia: Zebrane na posiedzeniu Tow. „Sokoła" przez p. Koraczewskiego 20 m.

Karmin: Mętkowski, zebrane od ludzi dworskich 3,05 m.

Król. Huta G. Ś.: Rumiński 1,50 m., Karol Kowalczyk 1 m., Dworaczek 50 f., Ant. Nowak 50 f., Wal. Nyc 50 f., Wilh. König 30 f., Win. Maj 20 f., Brandziok 50 f., Antoni Tkocz 1 m., Klytta 1 m., N. N. 3 m.

Koźmin: Tow. Św. Wincentego a Paulo 20 m., Tarnowski 50 f., Banaszyński 50 f., N. N. 50 f.

Kcynia: Kierblewski 1 m., T. Müller 1 m., Koperski 1 m., St. Maziński 1 m., J. Czochwalski 1 m., K. Pezacki 50 m., F. Maciejewski 1 m., W. Witosławski 1 m., S. Bogacz 1,50 m., J. Wendland 1,50 m., P. Paprocka 1 m.

Kwilcz: Narcyz Łapa, piekarz 3 m.

Kowalewko p. Wargowo: J. Wesołowski 2 m., M. Piotrowski 3 m., W. Matuszewski 1 m., A. Buks (Stępuchowo) 2 m.

Kiekrz: Parzybok 1 m.

Kostrzyn: A. Mikietyńska 3 m., Jan Tomczak 1 m., Stanisław Tomczak 1 m., Andrzej Jóźwiak 1 m., Michalak Jan 1 m., M. Walkowiak 2 m., St. Dybizbański 2 m., Pytlak 50 f., Mizerak 50 f., Dutkiewicz Piotr 1 m., Olejniczak Jan 50 f., Łabędzki Lud. 1 m., Dziutkiewicz Bart. 50 f., Deska Tomasz 50 f. Bzdręga 10 f., Szak Marcin 50 f.

Karsk: L. Olszewski 3 m.

Kluczewo: Za pośrednictwem gospodarza pana Bernackiego złożyli F. Bernacki 1 m., J. Stefański 1 m., Józef Paul 1 m., S. Jaskulski 1 m., E. Stopa 1 m.

Kościan: Helena Czaplicka 3,50 m., S. Krzystofiak 2 m., W. B. 2 m., W. Lazan 1 m., W. Buchert 50 f., W. Nogaj 50 f.

Krempna Galicya: Stanisław Kuś 20 hel., Kostek Ockala 20 hel., Teodor 8 hel., Marcin Kobiela 6 hel., Franciszek Żywczak 20 hel., Franciszek Kuś 40 hel., Alojzy Trybała 60 hel.

Kąsinowo pod Pamiątkowem: Wacław Tybiszewski 3,50 m., M. Racz 2 m., Gorzelańczyk 50 f., Józef Kaczmarek 30 f., J. Szymczak 25 f., Kaczmarek Józefa 50 f., Larek 50 f., St. Nowak 20 f., W. Nowak 20 f., Augusiak 10 f., Nep. Nowak 20 f., W. Nowak 15 f., Chytry 50 f., St. Nowak 50 f., Jędrzejczak 20 f., Kurczewski 20 f., Rosada 20 f., Jaszyk 5 f., J. Nowak 10 f., Spychała A. 50 f., Musiał 10 f., Białasik 20 f., M. Nowak 30 f., Barłóg 20 f., Rudnicki 50 f,, Maćkowiak 20 f., Kurczewski W. 50 f., Łoszyk 10 f., Rybarczyk 20 f., Stróżyk 50 f., Skrzypczak 20 f.. Walkowiak 30 f., Rakowski 15 f., Kowalewski 50 f., Przybył 20 f., Lisiak 10 f., Frąckowiak 50 f., Jarosz W. 20 f., Jarosz M. 10 f., Kaczmarek M. 10 f., Bajdziński 20 f., Bytner 50 f., M. Rokowska 50 f.

Kamionka szl. Pr. Zach.: A. L. 23,50 m.

Kłecko: Franciszek Lorencki 3 m., Jan Rogalski 1 m., Piotr Winiarski 2 m.

Kopanica; Marceli Myller 1 m., W. Patelski 1 m.. St. Dąbrowski 1 m., Szcz. Staniszewski 1 m., W. Śleć 1 m., J. Tomys 1 m:, W. Moder 50 f., P. Tomaszewski 50 f., Barbara Kubaś 50 f., M. Patelska 50 f., Śmidoda 20 f.

Kruświca: Zebrane w lokalu p. S. Heil- Kądziński 1 m., Paprocki 1 m., Talarczyk 2 m., Wiechecki 50 f., Szymkowiak 1 m., Jackowski 1 m., S. Heil 6,50 m.

Krzyżowniki: Nowaczyk 1 m.

Kristiania, Norwegia: Eustachy Wojciechowski 5 kor., Marya Wojciechowska 5 kor., Zosia Wojciechowska 1 kor., Michał Wielgolaski 1 kor., Franciszek Wielgolaski 50 kor., Stanisław Wielgolawski 50 kor., Andrzej Wielgolawski 50 kor., Ks. M. Ś. 5 kor., Stanisław Poleski 1,50 kor., W. de Tyczyński 50 kor.

Librantowa, Galicya: Zofia Miszke 4,26 m.

Laubegast, Drezno: Szymon Śmigaj 50 f.

Łabiszyn: Józef Stawicki. zebrane w Łabiszynie 6,80 m.

Łaziska górne: 4 robotników 4 m.

Lanckorona: Marya Tabiańska 1,71 m.

Lulin: I. Wullert 2 m., Fr. Barłog 1 m.

Łopienno: M. Paluszkiewicz 1,05 m.

Linowiec: Zakrzewski 26 m.

Św. Łazarz: N. N. 2,75 m.

Leszno: Dr. S. 10 m.

Ob. Langenbilau, Ślązk: K. Superczyński 3 m.

Lutynia: Estkowski 2 m., Nowakowski 2 m., Markowiak 1 m., Frączczak 1 m., Jakubiak 1 m., Pawlak 50 f., Błaszczyk St. 50 f., Chojnicki St. 50 f., Chojnicki M. 30 f., Błaszczyk Wawrzyn 20 f., Kaczmarek Kat. 10 f., Rutecki J. 20 f., Rutecki M. 20 f., Ratajczyk Agn 20 f., Frączczak And. 10 f., Kalinowski 10 f., Wielgosz L. 10 f., Gadomski Szczepan 10 f., Gadomski Victoria 10 f., Wilczek St. 10 f., Forycki Józef 50 f., Horyża 30 f., Malczewski 40 f., Żurek 40 f., Ulatowski 50 f., Majchrzak, organista 50 f., Wiertelaczyk 20 f., Walerowicz 10 f., Mikołajczak, Strzydzar 2 m., W. S. 10 m., Samulski 1 m., Łukowski 1 m., Wawrzynowski 50 f., Woźniak M. 35 f., Jardzińska Jadwiga 50 f., Jardecka M. 50 f., Gil 1 m., Forycki 3 m., Jankowski 1 m., Siemieńska 5 m.

Lion (Francya): T. Goraus 5 m.

Lubasz: S. Jany 1 m., W. Czekalski 1 m.

Londyn: J. Siwik 1 s., J. Skowroński 1 s., J. Tyczlewicz 1 s., Maryanna Babi 1 s., M. Zymber 1 s., W. Krzyrzewski 6 pens., A. Zaluk 6 pens., A. Hyliński 6 pens., M. Karczewski 6 pens., W. Kulesa 6 pens., W. Szydłowski 6 pens., F. Sokołowski 6 pens.

Murowana Goślina. Za pośrednictwem p. K. Ziółkowskiego złożyli: X. B. 6 m. Kazimierz Ziółkowski 3 m. R. F. 3 m. Stróżyński 3 m. A. G. 3 m. Sulikowski 3 m. Cieślik 2 m. Pepka 2 m. L. Bajer 1,50 m. J. Kosmowski 1,50 m. W. Oborski 1,50 m. Helena Ziółkowska 1 m. Helena Nowąkowska 1 m. Jakób Polcyn 1 m. St. Raczyński 1 m. A. Dobrowolski 1 m. Józef Nowak 1 m. Wieloch 1 m. N. N. 1 m. Romanowski 1 m. Seweryna Pluta 1 m. Łaszewska 1 m. Władysław Osiński 1 m. Bolesław Szymański, czeladnik piekarski 1 m. Andrzej Lewandowski 50 f. Jasińska 50 f. Joanna Bajer 50 f. Wikcia Bajer 50 f. Napiecek 50 f. Rakocy 50 f. Jezierska 50 f. Ludwik Drochowski 50 f. Michał Drochowski 50 f. Stanisław Glaziński 50 f. Sawiński 50 f. Rzeszewski 50 f. Józef Woźniński 50 f. Kazimierz Wudziński, czeladnik 50 f. S. L. 50 f. Pieniężny 50 f. F. Tryburzena 50 f. Joanna Janiszewska 50 f. Maryanna Skąpska, służąca 50 f. Franciszek Garstkiewicz 50 f. Wojciech Karpiński 50 f. Grotowski, Wojnowski, Huby 1 m. Knypiński, Trojanowo 1 m. Barełkowski, Brzezno 1 m.

Mogilno. Michał Paruszewski 1 m. Antoni Zbychowski 1 m. Stanisław Zbychowski 1 m. Adam Dolatowski 1 m. Jakób Rosiński 1m. Stanisław Barałkiewicz 50 f. Józef Mikołajski 1 m. Julian Lange 1 m. Wojciech Olejniczak 1 m. Józef Cerkaski 1 m. Anastazy Wysocki 1 m. Roman Przybyłowski 1 m. Józef Bernacki 50 f. Waleryan Barałkiewicz 30 f. Józef Sielecki 1 m. Bronisław Junk 2 m. Józef Soliciski 50 f. Kaźm. Filisiewicz 1 m. Stanisław Bylski 1 m. Stanisław Zarębski 50 f.

Mrocza. Franciszek Paluchowski 1,05 m.

Mościejewo. Małecki 3 m. Sturma 1,50 m. Drobnik 1,50 m. Wojciechowski 1 m. Hołoga 1 m. Banachowicz 50 f. Kinal 50 f. A. Sawala 50 f. Bieda 50 f. Marcel Niedźwiedź 50 f. Stachowiak 50 f. Stefaniak 50 f. J. Krąkolewski 50 f. Rębacz 25 f. Nawrot 25 f. Grzela 20 f. Porwich 20 f. Szymański 20 f. Grupa 20 f. Lewandowski 20 f. Frąckowiak 20 f. Bartkowiak 20 f. Kubiak 15 f. Pospieszny 15 f. Mamet 10 f. Najdek 10 f. Boguszka 10 f. Pawlak 10 f. Janek Dwornik 10 f. Pospieszny 10 f. Smyczyński 10 f. Porwich 10 f. Kwiatecki 10 f.

Milicz. Wojtaszek 2 m.

Młynkowo. St. Gawrych 1 m.

Mixstadt. Marya Klemczyńska 3 m. Jul. Biczyński 3,50 m. Helena Krzemienicka 3 m. Antka, Stacha i Stefana 60 f. Znalezione 3,50 m.

Mosurau G. Ś. A. Adamczak 5 m.

Miejsce piastowe Galicya. Jan Kilarowski 0, 20 kor.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozumowanie obdartusa.

„Że jeden jest bogaty a drugi ubogi, to już tak raz jest na świecie, ale czemu ja mam być zawsze tym drugim?“

W Chełmży, mieście liczącem 9000 mieszkańców jest korzystnie położony

skład

nadający się do handlu towarów łokciowych i garderoby od zaraz lub od 1-go kwietnia r. b. do wydzierżawienia. Chrześcijańskiego tzkiego interesu dotąd nie ma w miejscu. Zgłoszenia przyjmuje (111)

Wiktor Stefański jr.
Chełmża, (Culmsee.)

Oberża

w powiatowem mieście w głównej ulicy, z zajazdem i stajniami jest od zaraz lub 1-go kwietnia do sprzedania, cena przystępna, płata podług ugody. 131

Łask. oferty uprasza się do eksp. „Pracy“ pod No. 1001.

Sprzedaję od zaraz lub później moją bardzo dobrze idącą

oberżę

w powiatowem mieście, blizko rynku, targowiska i przy sądzie z całkiem urządzeniem za 33 tysiące marek. Dzierzawy przynosi 600 marek. Budynki znakomite. Pewna egzystencya dla rodaka. 126

Łaskawe oferty uprasza się pod lit. B. 100 do eksp. „Pracy.“

Ekonom

żonaty, z małą familią, liczący lat 39, zdrów, trzeźwy, energiczny, dobrego wzrostu, biegły w korespondencyi w obydwóch językach, 6 lat w obecnej posadzie, którą opuszcza dla sprzedaży w obce ręce, poszukuje posady przy skromnych warunkach. Rekomendacye jak najlepsze.

Łask. oferty upassza uprzejmie pod lit. J. K. 108 do ekspedycyi „Pracy.“ 108

Troskliwa.

Mąż. Ależ żono! Pocóż na wieś pakujesz tak drogą koszulę koronkową! Przecież się to zniszczy..,

Żona. Tak? A jeżeli w nocy ogień wybuchnie i będę musiała uciekać — to co wtedy?...

Panienka, z dobrej i zacnej rodziny, posiadająca 15,000 m. gotówki, 25 lat, miłej powierzchności, blondynka, skromnie wychowana, praktyczna, poszukuje z braku znajomości

męża.

Kupiec dobrze rytuowany i stałego charakteru ma pierwszeństwo. 143

Reflektanci niech się raczą zgłosić do eksp. „Pracy“ pod lit. W. S. 100. Dyskrecya rzecz honorowa. Fotografia na żądanie.

Kupiec

kawaler 24 lat, właściciel małego, ale dobrze prosperującego interesu w jednym z wielkich miast niemieckich poszukuje

żony.

Panny lub młode wdówki gospodarne, skromnie wychowane, posiadające cokolwiek majątku i chęć do interesu, zechcą łask. swe oferty wraz z fotografią przesłać z zaufaniem do eksp. „Pracy“ pod lit. **S. Z. 149.**

Dyskrecya rzecz honorowa. 149

W muzeum osobliwości.

Przewodnik wskazując na wiszące rogi — To są słynne rogi, które Dalila przypięła Samsonowi.

Karty okrętowe

z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 353

Adam Spektorek

w Chodzieżu (Kolmar i Pr.).

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia św. Rafaela, na czele którego stoją księża katoliccy, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Meinel & Herold

Harmonikafabrik
Klingenthal (Sachsen) Nr. 181

versend. pr. Nachn anerkannt solid. **Concert-Zug-Harmonikas** ca. 34 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offener Klaviatur **verbess. Stahlfederung**, 3thl., (11flt.) Doppelbalg m. best Metallschutzecken (Eckenschon.) Doppelbässe

10 Tast., 2chör. 2 Reg., 50 Stim. M. **5.**—
10 „ 3 „ 3 „ 70 „ „ **7.**50
10 „ 4 „ 4 „ 90 „ „ **9.**50
21 „ 2mal 2chör., 108 „ „ **11.**—

Schule, Kiste umj. Port. extr. And. Harm **85** versch. Nr.) bill. **Illustr. Catalog** frei. Wir bitten dringend, unsere Harmonikas nicht mit billiger offerirt zu verwechseln. Garantie: Zurücknahme u. Geld retour.

Ueber 3000 Dankschreiben.

Na brodawki i odciski

łagodny biały, skuteczny płyn poleca 2 flakoniki 1 markę (2 tuziny 9 mk.) fr. pocztą za zaliczką. Sprzedającym 50% rabatu. 115

Handel techniczno-drogeryjny
S. Maszewski w Ostrowie.

Hurtownie. Detalicznie

NA POST

polecam:
śledzie opiekane
„ zawijane
„ delikatesowe
„ w galarecie
sardynki ruskie
„ w oliwie
rozmaitej marki minogi, albrytki oraz i inne marynaty w puszkach. 102

Również wędliny dziennie świeżej przesyłki jako to: bydlinki (specyalność), sielawki, węgorz w galarecie, węgorz wędzony i to wszystko w jak najlepszym towarze odstawia po cenach targowych

Handel kilońskich wędlin
A. Pytliński
Wrocławska ul. 1.

Biegłą i dzielną

naklejaczkę

na stałe zatrudnienie i za wysokiem wynadgrodzeniem przyjmie zaraz lub później 112

W. SZELMECZKA
Handel skór i fabryka cholewek
Inowrocław.

Skład cygar

przy ulicy Fryderykowskiej w Bydgoszczy jest natychmiast do nabycia.

St. Tomaszewski,
Bydgoszcz. 118

Poszukuję dzierżawy

młyna

mniejszego albo mniejszego

gospodarstwa

lub też zajęcia na młynie. Łaskawe oferty uprasza się do Eksped. „Pracy“ pod lit. **S. 122.** 122

Ucznia

przyjmie

St. Życkliński

w Gnieźnie.

Jedyna istniejąca polska fabryka mydeł. 124

10 książek

różnej treści zamiast za 32,00 m. za tylko 3,50 m.

1—3 „Historya panowania Jana Kazimierza“ przez W. Kochowskiego. 3 tomy, cena 15 mrk.

4), Pamiętniki z r. 1809 1830 i 31 przez L. Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich“, cena 4 m. 50 fen.,

5) „O legionie polskim we Włoszech 1848 r.“. przez M., Poznań, cena 1,50 mrk.

6) Naprawa Rzeczypospolitej. O wolności Rzeczypospolitej. Votum szlachcica polskiego. Kraków. Cena 2,50 mr.

7) „Jenerał Bem w Siedmiogrodzie i Węgrzech r. 1848/49“ przez jenerała Czatza, cena 2 mk.

9) O konfederacyi barskiej“. Kraków. Cena 1,50 mk.

9) „Zbiór poezyi Kacpra Miaskowskiego“, Kraków, cena 3,50

10) O wypadkach politycznych w Polsce w r. 1763-1765 Poznań. Cena 1,00 mk. Z przesyłką fr. do 10 mil 25 fen., na dalszą odległość 50 fen., przez zaliczkę 80 fen., więcej. — Książki powyższe są wszystkie kompletne. Za tę niebywale niską cenę poleca księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp.
w Poznaniu
(ulica Św Marcina 16/17)

Dla mego ucznia, który swą 3 letnią naukę d. 1. 4. 02. ukończy poszukuję miejsca

pomocnika

K. Gąsowski,
Kościan 121

handel bławatów, bielizny i garderoby męzkiej.

2 maszyny

do rob. pończoch

już używane, lecz w najlepszym stanie się znajdujące są do sprzedania.

L. Małolepszy
Pleszew. 141

Polki

władające doskonale językiem niemieckim są poszukiwane na posady 135

bon i wychowawczyń

Pensya 260—310 Marek. Zgłosić się:

Karpińska Szpitalna 3.
Warszawa.

MIÓD

w najwyborniejszym gatunku, pod gwarancyą czysty, niefałszowany, paczka 10 funt. z opakowaniem 8 mk. 50 fen.
50 funt. 45 „
100 „ 80 „
poleca pszczelarz zawodowy

Franciszek Dzierżon
Łowkowice (Lowkowitz),
p. Ludwigsdorf O/Schl.

Suche strużyny ćwiklane

na powną i także późniejszą odstawę poleca najtaniej w ładunkach wagonowych franko do wszystkich stacyi kolejowych. Składy wszędzie 70

Wilhelm Thormeyer,
Köthen, Anhalt.

Pierwsza miłość jest to bardzo niefortunny fajerwerk, o którym jednak każdy z nas wspomina najmilej.

Szanownych Rodaków uprasza się o łaskawe wskazanie miasta, gdzie by można założyć lub przejąć

skład stroju

i krótkich towarów.

Oferty przyjmuje Eksp. „Pracy“ p. Nr. 147.

Poszukuję od 1 kwietnia b. r. samodzielnej

dyrektryzy

stroju

Zgłoszenia z podaniem pensyi przy wolnem stole i stancyi zaświadczenia z podaniem dotychczasowej czynności dołączeniem fotografii uprasza

Joanna Modrzejewska
Mogilno. 120

Nauczycielka

obecnie w miejsu z pozwoleniem rejenc. z dłuż. prakt. posz. posady od 15. Kwiet. Łask. zgłosz. przyjm. Eksped. „Pracy“ pod lit. **B. N. 136.** 136

Poszukuję od 1. 4. 02.

biegłej

buchalterki

obeznanej z podwójną buchalteryą. 146

Przy zgłoszeniu się, proszę o pod. warunków przy woln. stole i stancyi i o ewent. dołącz. fotogr.

C. NAGÓRSKI, Pr. Starogard.
Centralna drogerya.

2 uczni

do handlu kolonialnego i destylacyi przyjmie od zaraz

L. Siemianowski
w Strzelnie
ul. Kościelna Nr. 14. 144

W szkole.

Nauczycielka siląc się, aby jak najjaskrawiej odmalować uczennicom swoim doniosłość kary, jaka spotkała Nabuchodonozora, więc mówi:

— Przez pięć lat żywił się tylko trawą, jak krowa.

Przerywa jej panna Helcia:

— A czy on też potem dawał mleko — proszę pani.

O, jak okropnem jest małżeństwo bez miłości! „Okropniejszem jednak jest miłość bez małżeństwa!"